

Wojciech Młynarski
(1941-2017)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXII Nr 4(248) Żelów, kwiecień 2017

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Bogusława Chmiela, Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Dagmary Kacperowskiej, Krzysztofa Kobielca, Patrycji Kopackiej, Adama Lewandowskiego, Juraty Bogny Serafińskiej, Natalii Woźniak

Andrzej Dębkowski – *O kulturze osobistej oraz Przyciśnięty do muru nienormalności*

Leszek Żuliński – *Rapsodia o splotach życia i sztuki*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poetycki portret Krakowa oraz Z Erato przez życie*

Stefan Jurkowski – *„Idzie wiosna, ptaszek kwili”*

Andrzej Bartyński – *Kolej rzeczy*

Kazimierz Ivosse – *Emigracja*

Joanna Friedrich – *Ogród Hesperyd*

Anna Dominiak – *W świecie amfetaminowych księżniczek*

Henryk P. Kosk – *Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka (1)*

Mały pisarczyk z Małoszyc – ze **Stanisławem Stanikiem** rozmawia **Izabela Zubko (5)**

Stanisław Grabowski – *Czy odnajdziecie tylko siebie?*

Eliza Segiet – *Apteka zaufania*

Zdzisław J. Dziubecki – *Liryczne poszukiwania*

Informacje, Wydarzenia

Imprezy, Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika, Witryna



Z cyklu: Pejzaże polskie

Kronika

Zmarł Wojciech Młynarski

15 marca br. zmarł **Wojciech Młynarski**, tekściarz, niektórzy mówili, że poeta, choć ona sam uważał się za rzemieślnika. Polską rzeczywistość opisywał w sposób niebanalny – z humorem i ciętą ripostą. Siłą jego tekstów było to, że pisał niezwykle celnie, trafnie, a przede wszystkim lirycznie. W jego tekstach przewijała się Polska ze wszystkimi jej zaletami i wadami. O sobie często mówił, że *starałem się nie być ani za białymi, ani za czarnymi. Jednoznaczna konotacja polityczna zobowiązuje do przychylnia oczu, a co gorsza, upraszcza myślenie.*

Cały czas walczył z systemem. Z aparatem władzy. Tym sprzed 1989 roku i tym teraz, współczesnym. Jego słynne: „Co by tu jeszcze spacer przy, Panowie?” było wykorzystywane zarówno przez lewicę, jak i prawicę. Za pomocą tej piosenki wskazywano zarówno idiotyzmy partii Kaczyńskiego, jak i Platformy Obywatelskiej.



Foto: Wikipedia

Wojciech Młynarski

Piosenki Młynarskiego to były takie felietony piosenkowe. Bardzo często powtarzał, że jest twórcą, który pisze dla młodego inteligenta. Zawsze uważał, że *kabaretowa piosenka winna prowokować do myślenia, ale nie jest w stanie go zastąpić.* Dziesiątki jego utworów często trafiała do masowego odbiorcy. Od kilkudziesięciu lat nucili je Polacy, często nawet nie zdając sobie sprawy, kto jest autorem słów. Bo któż nie zna takich przebojów, jak: „Jesteśmy na wczasach”, „Och, życie Kocham cię nad życie”, „Żyć kolorowo”, „Z kim ci tak będzie źle jak ze mną”, „Jeszcze w zielone gramy”, „Moje ulubione drzewo” (Leszczyna).

Wojciech Młynarski napisał ponad 2000 tekstów, między innymi do piosenek, które weszły do kanonów polskiej kultury i muzyki rozrywkowej. Jego teksty śpiewali wszyscy najwięksi polskiej sceny muzycznej.

Zmarł Jeremi Przybora i Agnieszka Osiecka teraz odszedł Młynarski – „ostatni w wielkiej trójki”. Smutne jest to, że nie ma zastępców, nie wychował sobie uczniów, którzy mogliby podążyć jego drogą. Nie chcieli? Chyba nie, bo to zbyt trudna sztuka pisanie takich mądrych i intelektualnych tekstów, tekstów literackich.

Młodzi skłaniają się ku rozrywce lekkiej, łatwej i przyjemnej, i najczęściej głupiej – proponują rozrywkę coraz niższych lotów.

Na stronach internetowych, pod wiadomościami o śmierci Wojciecha Młynarskiego, pojawiły się setki, jeśli nie tysiące komentarzy. Jak zwykle są tradycyjnie żalodne, ale czemuż się dziwić, jeśli według powszechnie dostępnych badań, tylko około piętnastu procent populacji w ogóle rozumie, co się do nich mówi i pisze. To im dedykuję fragment mojego ulubionego tekstu Młynarskiego:

*(...) Moje ulubione drzewo –
Leszczyna, leszczyna,
Jak ją za mocno przygiąć w lewo,
To w prawo się odgina,
A jak za mocno przygiąć w prawo,
To w lewo bije z wprawą,
A stara sosna szumi radosna:
Brawo, brawo!
Więc ochraniają ją miłośnicy
O każdej dnia dobie,
Chroń leszczynę, która rośnie
Nad Hańczę hen i w tobie!
Chroń tę leszczynę, co wciąż od nowa
Prostuje się zajażdża,
Trzeba by cały las wykarczować,
Żeby padła...*

*A Ty, mój zielony borze
Chroń we mnie nadzieję,
Że póki latem jeden orzech
Szczęśliwie się wysieje,
Znow pójdzie z boru w młodiak zielony
I pójdzie z ojca w syna
Moje drzewo ulubione –
Leszczyna, leszczyna...*

[ad]

Jubileusz Jurkowskiego

Stefan Jurkowski, poeta, krytyk literacki, felietonista, dziennikarz, obchodzi w tym roku 50-lecie pracy twórczej. Rok jubileuszowy uczcił jednak nie wyborem wcześniej opublikowanych wierszy, jak jest to obecnie przyjęte, ale tomem premierowym, zatytułowanym „Spacer do siebie”. Nieco wcześniej ukazała się książka krytycznoliteracka o twórczości Jurkowskiego „Poeta i przestrzeń” pióra Anny Marii Musz. Obie pozycje wydała Oficyna Wydawnicza STON 2.

Andrzej Walter w recenzji tomu „Spacer do siebie” pisze: *Stefan Jurkowski powoli przekształca się w jednego z najważniejszych polskich poetów. Przekracza tym tomem rubikon coraz bardziej dziś płynnego panteonu poetów najważniejszych, w tym między innymi: Miłozza, Herberta, Różewicza czy Zagajewskiego, poetów, których waga wypowiedzianych słów zawsze była nie do pogardzenia (...).*

Stefan Jurkowski jest autorem 18. książek poetyckich, w tym czterech wyborów wierszy. Jeden z nich – dwujęzyczny „Pod każdym słowem” – wydany został w Sofii, w Bułgarii.

Liryka Stefana Jurkowskiego stanowi od samego początku wyrafinowaną i wysmakowaną propozycję intelektualną, niesie głębokie przesłania. Jurkowski jest poetą-filozofem, który patrzy na świat refleksyjnie, stawia ważne pytania i szuka na nie odpowiedzi – nawet jeśli dotyczą one spraw, które dla człowieka muszą pozostać tajemnicą. Uparte dążenie do prawdy, do wiedzy o rzeczywistości realnej i metafizycznej jest celem i sensem tej poezji.

AMM

Konkursy

Ogólnopolski
Konkurs Literacki
im. Marii Konopnickiej
(poezja, proza)

1. Konkurs przeznaczony jest dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych.
2. Uczestnicy konkursu (uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów i liceów) nadsyłają zestawy utworów w języku polskim – 3 wiersze lub opowiadanie. Nadesłane utwory nie mogą być przed rozstrzygnięciem konkursu publikowane ani nagradzane w innych konkursach. Prace w czterech egzemplarzach (wydruk komputerowy) należy przesłać do **21 kwietnia 2017 roku** na adres: Miejski Ośrodek Kultury, 21-560 Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 37 z dopiskiem „KONKURS”. Decyduje [data stempla pocztowego].
3. Przesłane utwory należy opatrzyć godłem (pseudonimem), zaś dane o autorze (imię i nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail, klasa, adres szkoły oraz krótką notkę biograficzną autora) umieścić w zamkniętej kopercie oznaczonej tym samym godłem jak prace konkursowe. Brak pełnych danych o autorze dyskwalifikuje pracę konkursową. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów. Przystąpienie do konkursu jest jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych uczestnika. Nagrody i wyróżnienia, które nie zostaną odebrane w czasie podsumowania przechodzą automatycznie do puli nagród w kolejnej edycji konkursu.
4. Organizator przewiduje nagrodę specjalną za utwory literackie o tematyce dotyczącej historii Międzyrzecza Podlaskiego i okolic.
5. Prace konkursowe oceni powołane przez organizatora profesjonalne jury złożone z poetów, krytyków i nauczycieli. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo publikacji nagrodzonych i wyróżnionych utworów bez honorariów. Laureaci otrzymają nagrody rzeczowe oraz dyplomy. Część najlepszych utworów ukaże się w planowanej jednodniówce „Pióro Wyobraźni”.
6. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi podczas najczystszej gali podsumowującej XXII edycję konkursu w dniu 20 maja 2017 r. (sobota) o godz. 11:00 w sali kameralnej Miejskiego Ośrodka Kultury, 21-560 Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 37, tel. 83 371 39 65, fax 83 371 23 79.
7. Lista laureatów zostanie opublikowana na stronie internetowej MOK (www.kultura.miedzyrzec.pl) najpóźniej do 15 maja 2017 roku
8. Organizatorzy nie zwracają kosztów podróży. Złamanie postanowień regulaminu wiąże się z dyskwalifikacją nadesłanej pracy. Sprawy nie ujęte w regulaminie rozstrzyga organizator.



Mały pisarczyk z Małoszyc (5)

Ze Stanisławem Stanikiem rozmawia Izabela Zubko

Dużo później, już po śmierci Herberta, która narobiła dużo szumu, przynajmniej w śródkach przekazu, zawędrowałem na Uniwersytet Warszawski, gdzie miał wieczór autorski Bohdan Urbankowski. Wydał akurat książkę monograficzną o Herbercie. Spotkanie było nudne, przynajmniej za nudne jak na takiego luminarza kultury, a ja po długich wywodach o niektórych problemach bibliograficznych zapytałem go czy wie, że Herbert chorował na depresję? Wiedziałem o tym, bo przeczytałem komentarz o Herbercie po jego śmierci, napisany przez Tomasza Jastruna. Urbankowski powiedział, że nie wie. Uznałem, że napisał książkę powierzchowną.

Ale chyba się pomyliłem. Gdy przyszło mi przeczytać ją dokładnie, byłem zafascynowany ogromem wiedzy o poecie, której dotąd nikt tak syntetycznie nie zebrał. Nie była to praca naukowa, źródłowa, stworzona na podstawie prac archiwalnych i zbiorów prywatnych. Przydała mi się do opisanie sylwetek Herberta, a właściwie rozdziału do zaplanowanej książki „Żywoty psychotyków”. Co prawda Herbert nie był schizofrenikiem (psychotykiem), a melancholikiem (chory na depresję), ale doskonale nadawał się do szeregu dotkniętych dysfunkcją psychiczną. Pisałem tę sylwetkę długo, aż za długo jak na twórcę „Pana Cogito” i „Hermesa i gwiazdy”, a potem i tak ją pominąłem w pracy, ale autor przez skomplikowanie i tajemnice swojej dysfunkcji okazał się za trudny do ujęcia w roli „skazanego na klęskę” za obłąk i młodość swego ciała. Dałem mu spokój, jak on mnie.

- Czy znałeś innych wybitnych pisarzy? Może tak jak Miłosz zasługują na poświęcenie im większej uwagi?

- Tak, znałem, pewnie mniejszych niż Miłosz, bo ten zawsze wyprzedzał swoją epokę, ale również zasłużonych i w swoim czasie niemniej popularnych. Do takich należał Jarosław Iwaszkiewicz, tytan pisania, wybitny działacz, potrafiący skupić wokół siebie skłócone środowisko twórców, członków ZLP. Zdaje mi się, że coś czytałem jego autorstwa w szkole podstawowej, ale bardziej już zaczął mi imponować na studiach polonistycznych. Mieszkałem w akademiku przy ulicy Karola Leszczyńskiego, w centrum Lublina, nieopodal Parku Saskiego, i marzyła mi się sława pisarza.

Wykonywałem próbki twórczości, ale chyba nieudolnie, bo podsuwane przeze mnie kolegom teksty mojego autorstwa spotykały się ze wzruszeniem ramion. Rad nierad przepisałem fragment opowiadania Iwaszkiewicza „Stara cegielnia” (z serii „Kolibra”) i zaniósłem go do przeczytania Witkowi Żołnierczukowi, studentowi UMCS. Ten przeczytał niby moją próbkę i orzekł ze smakiem, że przypadła mu do gustu i ciekawie się zapowiada. Jakież było moje rozgoryczenie, że to nie był mój tekst, a czyjs inny i tak się bardzo podobał. Poczułem, że chyba nie wystarczy mi talentu.

Iwaszkiewicz był wielkością nieosiągalną i niedostępną. Kiedy pracowałem w Kielcach w „Echu Dnia” zmierzyłem się z nowym wyzwaniem. Miałem pojechać na święto kultury do Sandomierza, bodaj w czerwcu 1975 roku. Na zaproszeniu przesłanym do redakcji przez organizatorów imprezy podawano, że w sympozjum na temat literatury tego regionu mieli wziąć udział m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Tomasz Burek i Jan Witan. Przed wyjazdem redaktor Janusz Sapa powiedział mi, że jeśli uda mi się porozmawiać z Iwaszkiewiczem, niech go zapytam o dziwny stosunek do innych Skamandrytów. Nie wiedziałem, co się pod tym kryje. Nie znałem kulis życia środowiska literackiego. Dziś wiem, że może odsuwał się i dystansował wobec Lechonia i Wierzyńskiego, może nawet nie lubił Słonimskiego, ale myślałem, że uda mi się tego dowiedzieć u źródła. Wziąłem udział w tym sympozjum. Panowie pięknie przemawiali, a Jarosław Iwaszkiewicz siedział na sali, nie odzywając się nic. Wreszcie ktoś z mównicy głośno powiada, że Iwaszkiewicz jako poseł Ziemi Sandomierskiej zaniedbuje swoje obowiązki względem jej mieszkańców. Jego wypowiedź wydała mi się niesprawiedliwa i buńczuczna. Poseł i pisarz w jednej osobie powstał z miejsca i wymknął się chyłkiem z sali.

Na podobny nietakt tym samym sposobem zareagowali notable kultury kieleckiej, kiedy w przeddzień 1 Maja na wernisażu rzeźb Hadyny i Myjaka, obu z Ostrowca mieszkających w Warszawie, wymknęli się z sali również chyłkiem. Nawet „Echo Dnia” nie zdecydowało się zamieścić mojego sprawozdania z przebiegu tej imprezy.

Tego znanego pisarza przyszło mi zobaczyć po raz drugi w Sandomierzu, kiedy jadąc samochodem, wraz z kierowcą zatrzymał się na rynku. Stałem

akurat z dziennikarzami partyjnego „Słowa Ludu” Hanną Maślankiewicz i Stanisławem Mijasem oraz – chyba – z redaktorką Jarosz z „Przemian”, kiedy auto z wysoko postawionymi gośćmi zatrzymało się, a przez odsłoniętą szybę wyjrzał pisarz. Nie bacząc na doznana przez niego konfuzję i pewnie przynaglający go pośpiech, wypadłem z kawiarenki, gdzie piłem jakiś sok i zatrzymałem się tuż przed tym autem. Iwaszkiewicz obniżył jeszcze bardziej boczną szybę samochodu, a ja zapytałem wprost, czy mnie jako dziennikarzowi gazety kieleckiej nie zechciałyby udzielić wywiadu. Spojrzał na mnie. Nie wiem, czy nie zamienił jakiegoś słowa z kierowcą, ale wnet odparł, że może mi udzielić. Prosił, abym stawił się nazajutrz do Domu Wczasowego stojącego – jak się później okazało – na wzgórzu i otoczonego wysokimi sitowiem. Podziękowałem za życzliwe przyjęcie, odwróciłem się, a samochód pognał dalej.

Następnego dnia rano już na kwadrans przed czasem przyszedłem na umówione miejsce. Zajrzałem do środka stołówki. Iwaszkiewicz wraz z kierowcą siedzieli za stolikiem i spożywali śniadanie. Cofnąłem się. Kiedy podeszła do mnie kelnerka, powiedziałem jej, że jestem umówiony z pisarzem na rozmowę. Odparła, że poinformuje go o tym, że już przyszedłem na umówione spotkanie. Była akurat ósma. Po jakimś czasie kelnerka podeszła do mnie i kazała czekać. Stałem przed drzwiami i czekałem, potem trochę wsunąłem się do wnętrza pomieszczenia. Iwaszkiewicz skinął, żebym do niego podszedł. Kierowca zdążył już zjeść śniadanie w przeciwieństwie do pisarza, który miał na talerzu jajecznicę, a w kubku kakao. Kazał mi usiąść i opowiedzieć coś o sobie. Szło mi nieskładnie, a to dlatego, że nie widziałem żadnego zainteresowania mną i moją opowieścią. Wreszcie ten nie kończąc jedzenia, powiedział, żebym zadawał mu pytania. I zacząłem mu je zadawać, a szło mi to też nieskładnie. Najpierw postawiłem pytania ogólne i po jakimś czasie zapytałem go o jego nieszczęsny stosunek do Skamandrytów. Zachnął się, obrócił się w stronę kierowcy i kazał mu wyjść przygotować samochód do jazdy. Myślałem, że moja rozmowa skończona. Skurczyłem się i stremowałem. Na to Iwaszkiewicz, widocznie udobruchany moją postawą, podniósł

(Dokończenie na stronie 4)

Mały pisarczyk z Małoszyc (5)

(Dokończenie ze strony 3)

rękę i wskazał palcem widoczne przez okno przelatujące bociany. W istocie rzeczy może tak bardzo kochał przyrodę? Nie udzielił mi odpowiedzi na pytanie o Skamandrytów, aczkolwiek miał ku temu powody.

Inna później sprawa zwróciła moją uwagę. Pisarz powiedział, że wybrał Sandomierszczyznę na swoją drugą ojczyznę, po opuszczeniu Kresów, ponieważ tu ziemia jest tłusta. Pomyślałem, że chodzi tylko o to, że ziemia jest urodzajna. Ale z czasem mogłem się przekonać, że ta ziemia Sandomierska zastąpiła mu pierwszą ojczyznę, gdzie właśnie ziemię są tłuste, Ukrainę. Na zakończenie poprosiłem rozmówcę o podpisanie wywiadu, tak żebym mógł ów podpis dać do gazety celem jego wydrukowaniu. Ku mojemu zdziwieniu, pisarz załączył nad autografem zdanie z pozdrowieniami dla redakcji. Byłem ukontentowany. Iwaskiewicz prosił, abym numer pisma z zamieszczonym w nim wywiadem mu przesłał, co rzeczywiście po przyjeździe do Kielc i szybkiej publikacji tekstu uczyniłem. Byłem pełen uwielbienia dla doskonałego pisarza. Czekałem na odpowiedź po przesłaniu numeru pisma. Ku mojemu rozżaleniu takiej nie otrzymałem. Wkrótce za wywiad otrzymałem od redakcji „Echa Dnia” nagrodę miesiąca. To też dużo.

Po kilku latach, kiedy mieszkałem w Warszawie, zaszedłem do Domu Literatury na jakąś imprezę. Wychodząc, spostrzegłem przy szatni ubierającego się Iwaskiewicza. Z trudem nakładał zimowe palto, był jakby przygarbiony, zmęczony. Wiedziałem, że chyba zbliża się jego koniec. Rzeczywiście tak się stało. Po niedługim czasie, gdy pracowałem w „Kierunkach” jako redaktor, pisarz zmarł. Na jego pogrzeb poszedł z redakcji Zdzisław Umiński, który znał pisarza, bo był jak on członkiem ZLP. Chwalił się, że posiada od niego kilka listów, za co go szczególnie lubił, a za pisarstwo cenił.

Po wielu latach zaszedłem na grób Jarosława Iwaskiewicza na cmentarz w Brwinowie. Leżał w grobie pod cisami opodal miejsca pochówku swego teścia. Była noc. Razem ze Stellą Szymaniak, młodą poetką, zapaliliśmy znicze na obu grobach. Miejsce pochówku wydało mi się odosobnione i dalekie od tego, jakiego się spodziewałem. Stella, wówczas mieszkanka Brwinowa, poinformowała mnie, że w Podkowie Leśnej odbywają się konkursy prozy z twórczości pisarza.

Jakiś rozdźwięk istniał między ubogim otoczeniem grobu i samym grobem a wykwinnością uroczystych spotkań literackich ku czci pisarza.

Jeszcze jak sięgnę pamięcią związaną z pisarzem kojarzy mi się jedna scena. Siedziałem przy stoliku biblioteki w Domu Literatury, kiedy weszła do pomieszczenia Joanna Siedlecka. Popytała mnie o pisarzy, nad których biografią pracowała, po czym wszedł fotoreporter, żeby zrobić jej zdjęcie. Stała obok postumentu Jarosława Iwaskiewicza. Spojrzałem na nią, zawstydzona się. Ale ja nie podszedłem do niej, aby dać się sfotografować. Nie miałem tej miary, co inni pisarze.

- A jak poznałeś się z obecnym prezesem ZLP? Co najbardziej utkwiło ci w pamięci z waszych kontaktów?

- Na radomską Wiosnę Poetycką w roku 1976 przyjechali dwaj poeci warszawscy: Krzysztof Gąsiorowski i Tadeusz MocarSKI. Poeci miejscowi i ich jedyna Muza, ładna, ładna, ale niepisząca wierszy przyjęli ich po imprezie dla publiczności w restauracji i hotelu „Europa”. Biesiadowanie nie miało końca. W jego trakcie Krzysztof Gąsiorowski rzekł, chcąc nam zaimponować, że jest z naczelnym pisma „Poezja”, a sam był zastępcą redaktora naczelnego, zna się w pół słowa. Nie powiedział, że znają się jak łyse konie, ale naprawdę nam zaimponował. Mało tego, powiedział, że gdyby zechciał, mógłby być samym naczelnym. Trochę nie dowierzałem tym jego przechwałkom, ale dziś z perspektywy czasu wiem, że mogłoby tak być, bo Gąsiorowski miał dobre pióro, kontakty z drukarnią i dobre znajomości z ludźmi. Wiele zależało od postanowień decydentów partyjnych.

Wawrzkiwicz w partii w tym czasie musiał mieć duży mir, bo wcześniej był attache kulturalnym przy ambasadzie polskiej w Moskwie. Przez jakiś czas prowadził pismo „Nowy Wyraz”, a chyba też pełnił przez pewien czas funkcję szefa zespołu redakcji „Nowych Książek”.

Poznałem go z widzenia, nie z bezpośredniego kontaktu, w redakcji „Poezja” pod koniec epoki PRL-u. Przechodziłem nieraz obok niego, gdy zająłem od czasu do czasu z materiałami do redaktora Jana Zdzisława Brudnickiego, Andrzeja Tchórzewskiego (szef działu poezji) czy – na koniec – do Krzysztofa Gąsiorowskiego celem przeprowadzenia z nim wywiadu. Nie śmiałem wejść do pokoju Wawrzkiwicza, bo i nawet nie przyszło mi na myśl, aby wejść i porozmawiać (np. prosząc go o uczestnictwo w wywiadzie dla jakiegoś innego pisma). Długo tak przychodziłem, przyjażniac się z redaktorką Kowszewicz i trochę z Andrzejem Tchórzewskim. Nadeszły czasy Przełomu, czyli wydarzenia roku

1989, i wszystko w kulturze ulegało przemodelowaniu. Dowiedziałem się, że pismo ma przestać ukazywać się. Miałem w nim złożone wiersze, a tu w jednym z jego numerów widnieje zapowiedź drukowania mojego wiersza, na pewno – jak się dowiedziałem – wiersza o chorym na schizofrenię „Schizis, albo dwoistość”, napisanym w Częstochowie. Wychodzi ten numer, w którym miał ukazać się wiersze, a wiersza nie ma. Na okładce znów dostrzegam zapowiedź publikacji tego utworu, czekam, czekam, zapowiadany numer ukazuje się, a wiersza nie ma. Byłem mocno rozżalony. Jak się okazało numer pisma z drugą zapowiedzią mojego utworu był ostatnim w jego historii. Już się nigdy więcej nie ukazało. Nastąpiły rozszady w zespole, małe dramaty osobiste członków redakcji, oczekiwanie na nową pracę.

Po śmierci Piotra Kuncewicza, już po dłuższym czasie od jego zamknięcia, Marek Wawrzkiwicz został wybrany prezesem Związku Literatów Polskich. Cieszył się estymą jako doświadczony i wysoko utosunkowany twórca i urzędnik. Miał szerokie kontakty we władzach, w różnych instytucjach i mógł niejedno załatwić dla związku. Ale miał swoje anse. Potrafił być surowy i jak się uprzedził do kogoś, był w stanie z nim długo walczyć. Najpierw skłócił się z Bohdanem Urbankowskim i doszło do tego, że z czasem ten w ogóle nie pojawiał się w Domu Literatury. Wielu członków organizacji wyrzucił za niepłacenie składek. Aż kiedyś Marta Berowska musiała ująć się za jedną, schorowaną, starszą literatkę, która nie był w stanie wysupłać kilkudziesięciu złotych na rok na opłacenie składek.

Wawrzkiwicz okazał się gospodarzy. Żeby zarobić trochę pieniędzy, można było przynieść swoje książki do rozprawienia wśród czytelników z zewnątrz. Podejmował inne akcje mające na celu podwyższenie dochodu dla ZLP. Nawet sekretarka oddziału warszawskiego tego związku, Krystyna Muchowicz, pracowała już tylko na pół etatu, na koniec odeszła na emeryturę i na tym stanowisku zastąpiła ją inna kobieta, też pewnie mogącą zarobić tu marne grosze.

W końcu, zapewne w porozumieniu z SPP, które wynajmowało drugie skrzydło Domu Literatury, postanowiono sprzedać parter, gdzie mieściła się kawiarnia. Nowy inwestor kontynuował działalność gastronomiczną a restauracja otrzymała nazwę „Literatka”. Pieniądze spłynęły: twórcy za ulgowe kwoty zaczęli jadać tu obiady i pić piwo. Tylko za to wyżywienie był chyba upust.

cdn.



Mniej Więcej (146)



Foto: Zofia Mikula

Rapsodia o splotach życia i sztuki

Andrzeja Gnarowskiego znam od „zawsze”, tzn. od lat siedemdziesiątych. Poniekąd „maczałem palce” w jego debiucie poetyckim, tzn. w wydaniu tomu pt. „Czas na nieobecność” (prowadziłem wtedy w Krajowej Agencji Wydawniczej redakcję literacką). Potem Gnarowski publikował już w wielu czasopismach, wydawał kolejne książki w kilku oficynach. W środowisku literackim jest znany, ceniony, ale nie wiem jak to wygląda w szerszym spectrum, bo Gnarowski – uwaga, uwaga! – nie posługuje się komputerem, a więc i Internetem. Może właśnie dlatego każdą nową książkę tego poety trzeba mocniej nagłośnić. Dlaczego? Ano dlatego, że to poeta nie trzeciorzędny.

Leszek Żuliński

Najnowszy tomik Andrzeja – *Cantata* – to dziełko pokaźne, liczące ponad 130 stron. Tomik podzielony jest na trzy części. Każdą z nich otwiera wiersz z tytułem, a więc: *Cantata*, *Edelman*, *Różewicz*; pozostałe wiersze w każdej części są – zamiast tytułów – opatrzone trzema gwiazdkami. I tyle informacji o pomysły kompozycyjnym tej książki, o jej „rusztowaniu”. No, jeszcze może warto wspomnieć o trzech mottach tomik ten otwierających: z Manna, Márqueza i Novalisa. A reszta to wiersze, wiersze, wiersze... Wiele z nich opatrzonych mottami z poetów obcych i naszych. Na ogół znane nazwiska. A to nie taki „prztyczek”, jakby niektórzy sądzili. Motta dużo dają do

myślenia, w tym przypadku one wzmacniają kulturowość wierszy Gnarowskiego (bo w tej formule te wiersze się mieszczą).

Oto fragment z początkowej części: *Szelest ziemi głąskał twarz w ciemności. Muzyka / Która powstaje z pragnieniem z „Wiosną” Botticellego / Niebo zamglone złotodajną alaską jakby grało na kolorowych / Klawiszach jednostajne etiudy. Klawisze wzdęte powagą / Ociężałych trzmieli grały w zielone z kasztanami / Drżały liście na Polach Elizejskich: / „Parzył płonie! Burza się w nim przewala”...*

Gnarowski nie żyje w realizmie. Jego świat ułożył się z lektur, mitów, obrazów, muzyki, kulturowych i symbolicznych pejzaży. Codziennosc, pragmatyzm, behavior, konkret to nie jest amunicja do tych wierszy. Zgodnie ze starą sentencją: *ars longa, vita brevis*. No więc zostają po nas dzieła sztuki – od architektury począwszy, poprzez malarstwo, muzykę, literaturę „niepragmatyczne” cudeńka, które tworzyła wyobraźnia i potrzeba piękna. Odnosi się wrażenie, że Gnarowski żyje w muzeum, w bibliotece, w teaurusie sztuki.

Mamy tu do czynienia z kontrapunktem wobec „mówienia wprost”, wobec prozaizowania życia, wobec reizmu. Czego więc Andrzej szuka? Myślę, że właśnie symbolu, mitu i „czystego piękna”. Tu rodzi się pytanie o tzw. „pięknoduchostwo” – i tu jestem gotowy jak Rejtan zasłonić sobą taką interpretację tego typu poezji. Jej cymes właśnie w – jak mówili marksiści – nadbudowie. A więc w tym, co rodziło się nie z ręk, lecz z ducha. A cóż innego robił na przykład Herbert? Przecież on po uszy tonął w sztuce i mitologii. Tyle że Herbert miał siłę jasnej, dobitnej prostoty. Jego wiersze miały moc przesłania. A Gnarowski jest rozlewny, „opisowy”. I z innego świata. Może dlatego nie zdobył się na zaadoptowanie w cywilizacji elektronicznej?

Kontynuując powyższy o trzy akapity cytat, dodaję: *Grecjo żegnaj. Egipcie. Żegnaj Paryżu z bryłkami lodu / Izoldo umierająca w szpitalnej separacie / Opuszczą się powrozy śmierć będzie geniuszem / (coś z Ernesta Blocha) na najdłuższą drogę / Na szelest ziemi. Milczenie rozpaczy. Ach, jakie to piękne requiem i jaki tobolek sensów oraz wartości, które zabierzemy ze sobą...*

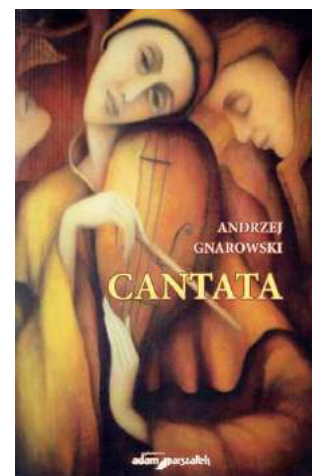
Zastanawiałem się, czy nie podjąć z Andrzejem jakiejś polemiki na temat jego „niepragmatycznej” sztuki istnienia. Nie zadać pytania, czy „bombonierka sztuki” jest cokolwiek warta? Ale to byłaby idea pragmatyczna, która Andrzeja mało co obchodzi. I może jednak ma on rację? Bo ze sobą nie zabierzemy rzeczywistości, a tu zostawimy krajobraz duchowy i sztukę, która nie jest słabsza od materialnych realiów. I Gnarowski

właśnie na tym buduje swoją ideę sensu. Pięknoduch? Nie, absolutnie nie! To byłaby etykieta niesprawiedliwa. Gnarowski mówi o wartościach.

Te wartości biorą się z wielkiego worka kultur. Takie mnóstwo pejzaży, dzieł, wier, idei, ikon, obyczajów, przesądów, nadziei... – istny karnawał osobności i osobliwości ludzkich nadziei i wizji. Historia naszych „snów egzystencjalnych”... No i w wielu momentach metafizycznych, choć Gnarowski znakomicie posługuje się kostiumem realistycznych faktów i zdarzeń. Toposy sztuki są tu cudowną dekoracją. Dlaczego one? Ano dlatego, że sam Gnarowski żyje w sztuce po uszy, a poza tym ona jest kwintesencją tego typu „filozofii”.

Wiele w tym zbiorze wierszy, które nazwałbym „uniwersalnymi”. Dzieją się one jakby w jednej skompresowanej kapsule świata. Mieszają się miasta, regiony, epoki, języki; czasami miałem wrażenie, że znajduję się w Wieży Babel. Natłok skojarzeń i faktów kulturowych czy historycznych robi tu wrażenia. Znam, jak na początku wspominałem, Gnarowskiego od lat, ale nigdy nie podejrzewałem o taki poziom erudycyjności. Ale tu nie tylko o nią chodzi, może bardziej o „temperaturę wyobraźni poetyckiej”. W tym gąszczu faktów, nazwisk, zdarzeń literackich i mentalnych Andrzej radzi sobie z niesamowitą zonglerką zestawień. Jakiś „kompresor wiedzy” tyka w nim imponująco. Natomiast wyobraźnia znakomicie radzi sobie z poszukiwaniem zestawień na oko rozproszonych.

Znam i mam wszystkie tomiki Andrzeja Gnarowskiego. Zawsze je ceniłem, ale ten przeszedł moje oczekiwania. Uwaga!, uwaga!: nie ponoszą mnie ani koleżeńskie, ani recenzenckie emocje – stwierdzam z absolutnie szczerym przekonaniem, że mamy do czynienia z tomikiem wybitnym.



Andrzej Gnarowski, *Cantata*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017, s. 132.

Adam Lewandowski

Pełnia...

W pełni księżycy widzę pejzaże
szerokich przestrzeni wyobraźni
wołanie znikąd otwarte oczy
wpatrzone w wysnioną przyszłość

w pełni poranka szaleje rozmiar
niezliczonych pomysłów
myśl przewodnia porządkuje
rozterki wahania przewidywania

w pełni słońca zawirowane dni
podają dłoń tym co słuchają
pomrukują westchnieniem
godząc się na najtrudniejsze

w pełni popołudnia wieje wiatr
nostalgii za pełnią duszy
skrytej w długim zgrabnym
ciele ogarniętym niepokojem

w pełni wieczoru spycham
złe myśli po schodach złości
ledwie co tchnieniem wsparte
a chwilą miłości zbuntowane

Skojarzenia...

Skojarzenia to rozruch
myśli niosących zmienne
perspektywy czasu
mówiące prawdę

skojarzenia czasu miejsca
czasami nazwy bądź gestu
dają perspektywę przyszłości
ogarniającej rzeczywistość

skojarzenia bolą innych
przynoszą cień prawdy
by z chwilą zaskoczył
osobliwością natury

skojarzenia nie ukryją
zbioru prawdziwych spraw
wołą przeczekać czas
nieokazywany innym

skojarzenia nazwy myśli
dobrego wyczynku
czarującej osobliwej muzyki
to tylko symptom niepamięci.

Po nocy...

Po nocy rozumiem każdą
chwilę wczorajszego dnia

myśli co niepokoją
minutą rozterki emocjonalnej

po nocy chwytam najlepsze
momenty smutku
pozostającym po spotkaniach
ciepłych i zimnych

po nocy przyswajam uwagi
najzyczliwszych pragnienie
bycia od wielu wielu lat
blisko jednej osoby

po nocy budzę się sennie
trzymam myśli skrajnych snów
wierząc w odpowiedzi
setek lirycznych listów

po nocy jestem inny
wyposażony w intuicję
motywową pragnienia
zawsze myśli z listu.

Odwracanie...

Odwracam głowę za zakrętem
spoglądając szukam
drogi po której stąpasz
by być moim cieniem

odwracam głowę za tym
co piękne warte grzechu
kruche w widoku przejrzystym
mocne w uścisku mądrości

odwracam głowę ze zdziwieniem
zjawiskiem nieprawdziwym
zakłamanym chaosie
zadziwiającym świecie paranoi

odwracam głowę zawsze
wierząc w intensywność świata
powrót do normalności
sensowność dni codziennych

odwracam głowę zawirowaną
myślą ciągłym przekonaniu
że nie jestem nawet minutowym
celem pozytywnej emocji.

Krzysztof Kobielec

Piosenka dla Małgosi, bo zabrano ją za wcześnie

setka w setkę ścięła się równo
płonie ogniem
wypita wódka
księżyc sennie płynie nad miastem
noc jak noc

o setkę za krótką

więc wyruszam przed brzaskiem
w drogę

gasną zwiędłe kielichy latarni
sennie cień się podnosi na bruku
a ja pędzę w pogoni za słowem
jak latawiec na wietrze wiosną
jestem jeszcze nad wyraz żywy
bo paznokcie i włosy rosą

czas zamykać otwartą księgę
nikt nie sięgnie do niej
bo po co
rozpinają już dla mnie anioły
tęczy barwnej rozległą wstęgę

a ja płynę
alkohol mnie niesie
wiatr owiewa rozgrzaną głowę
jeszcze lśni się wódka w kieliszku
po ostatnim wypijmy na drogę

a na tęczy
gdy wnika w przejrzystość
co odbiera kształt każdej rzeczy
płoną ognie
tańczą płomienie
żebym poznał wiek swój niewinny
żebym znowu pozyskał czystość

wszelkie blizny gasną
i tylko
pamięć ból ogarnia przeżyty
siódmy krąg otwiera się chętnie
jak bym żył jeszcze
ja
przez życie zabity

ale martwy jestem
od zawsze
pełny trup
w całej krasie
co potwierdzam słowem i gestem
ale piję wszystko
co da się

więc podnieśmy w górę
szklanice
pijmy wszystko do świtu
do rana
lepiej zapić się w trupa
na umór
niż żyć dalej
jak żyją inni
ci
co na kolanach

więc się nie dziw
i nie bocz
mój Boże

ze mną jest takich cała grupa
nie chcą czołgać się co noc do rana
i fałszywą miłość głosić na próżno
bo wierzyli
że da się
że można
lecz nie dało się
jasna dupa

Boże
umrzeć
jest sprawą zwykłą
niby po co marnować energię życia
skoro wiesz już wszystko
to ja też
nie mam nic do ukrycia
znasz
każdego bólu mojego przyczynę
więc cię bawi
moja rozpacz
no i właśnie za to mój Boże
w tej piosence dzisiaj Cię winię

Bogusław Chmiel

Tylko chwile

Wpadłaś do mojego świata
ledwie na chwilę
chwilę pełną radości
na którą nie czekałem
w najśmielszych snach
odnajduję Cię w słowach
dawno zapomnianych
takich normalnych ludzkich
każdego dnia
choć to tylko chwila

Myśli

Tylko spojrzenia i myśli
niby nic znaczącego
jednak wyzbyć się ich nie umiem
a wszystko przez te oczy
i to co widziałem w nich
lustrach Twojej duszy
odejść z moich myśli
skoro ja nie potrafię
przed sobą samym
udawać że ich nie ma
między nami nic nie było
tylko myśli
pełne ukrytych pragnień
które w każdym w nas

Wiatr

Dął w ustniki
instrumentów natury
w szczelinach okien i drzwi
wygrywał niechciany męczący
swoją diabelski koncert
syczał huczał czasem zawył
jak dziecko zakwilił
cichł by po chwili
z łoskotem falami
cisnąć w brzeg
pędził przed sobą

brzemienne chmury
z nocą za pan brat
wzbudzał ukryte lęki
siał strach
choć to tylko wiatr

Wychodząca z morza

Poczęta z boskiego nasienia
wynurzyła się z morskiej piany
pośród skał rzuconych w morze
na cypryjskim brzegu Pafos
boska Afrodyta
bogini wdzięku i miłości
niespełnione marzenie
kobieca doskonałość
symbol piękna
pożądania przez bogów
i zwykłych śmiertelników
niosła nowe życie
radość uśmiechy igraszki
niezbyt wierna
wolała życie kochanki
w pamięci kolejnych pokoleń

Stary kuter

Kutry wychodziły w morze
tylko ten jeden
zagrzebany w piasku plaży
nie wiadomo od ilu lat
smętny zadumany
sponiewierany przez żywioły
odchodzący czas
już nie cieszy oczu rybaka
nie witają go radośnie
skrzeczące głosy mew
marzy już tylko o jednym
może przyjdzie kiedyś
wielka morska fala
i zabierze go w ostatni rejs
na spotkanie z oczekującym
na wiecznych łowiskach
starym szyprem
znowu popłyną razem

Na krawędzi

Wszystko co było między nami
dawno odeszło
czuję jak wokół
jak szubieniczny supeł
zacieśnia się pustka
gdy nie pomaga
ucieczka od świata
pracoholiczna praca
gdy wiem że na mnie
nie czeka już nikt
że na wszystko
już jest za późno
wówczas coraz częściej
powraca pytanie
o sens ziemskiego istnienia
czy warto

Kradzione chwile

Chociaż to tylko chwile
dla mnie bezcenne
chwyciłem je skwapliwie
przy różnych
czasem dziwnych okazjach
próbowałem na zapas
stworzyć jakąś całość
daremnie
to one były sensem istnienia
oddałem im wszystko
najlepsze co we mnie
inny był wtedy świat
tak chciało się żyć
dla choćby tej jednej chwili

Natalia Woźniak

* * *

spójrzmy razem na przeszłość
po latach

zakończenie mogło być isticie filmowe
a dzisiaj

siedzę sam i układam nuty w
najpiękniejsze ballady – nie o tobie

spójrzmy razem na przeszłość
na dzień w którym cię zgubiłem

dziś bez żalu
ciesząc się

nowym szczęściem
nowym dniem
w nowym życiu

* * *

stoi pod mizernym wodospadem
jakby mógł wymazać wszystkie winy

przeżywa myśli analizuje
odpływa w nieznane

a potem jest tylko para
duchota lub chłód

szorstki ręcznik przyzywa
do rzeczywistości



Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka cz. II (1)

1948

Maj

Mam kwaterę. Oczywiście tymczasową. Dzięki Janickiemu, który słowa dotrzymał i wszystko załatwił. Mieszkam tuż nad wydziałem, wygoda więc nadzwyczajna. Nie sam, to jest nieosiągalne. Halinka i Staszek są nadzwyczaj miłymi ludźmi. Zgodzili się mnie przygarnąć, chociaż mają tylko pokój i kuchnię. To jest krępujące, ale widocznie Janicki wystawił mi dobrą opinię, skoro na to poszli. Czuję się jak w rodzinie i moi gospodarze traktują mnie jak członka rodziny. Stołuję się u nich i jestem pełen wdzięczności za ich bezpośredniość i serdeczność. Pszenicki ma teraz nowy temat do kpinek, ale pal go lichu. Gorzej, że wszyscy zaczęli mnie na gwałt swatać. Pani H. z jakąś swoją kuzynką dentystką, posiadającą własny gabinet. Halinka z panną mającą willę na dalekim przedmieściu X, koledzy ze swoimi znajomymi i krewnymi, a pani Pszenicka ze... sobą.

Pierwszego dnia, gdy zjawiłem się w X, pani P. przyszła do biura rzekomo w poszukiwaniu swego „starego”. Nie rozumiałem wówczas uśmiezków obecnych w pokoju oficerów. Później docierały do mnie odgłosy, że odziedziczę po majorze nie tylko wydział, ale i żonę z urzędowym mieszkaniem w dodatku. Nie zwracałem na to uwagi, bo plotki próżnujących bab i zbabiających chłopów nie interesują mnie. Ale któregoś dnia szef pojechał do centrali. Pani P. przyszła do naszego biura, wykorzystując jakiś błahy pretekst. Wyraziła żal, że nie ma z kim pójść do kina, a idzie właśnie ciekawy film.

Z wrodzoną sobie rycerskością zaofiarowałem swoje towarzystwo. Przyjęła je skwapliwie. Po seansie poszliśmy do parku. Pogoda deszczowa, ale pod parasolem ze świeżo rozwiniętych liści starych, potężnych drzew, dublowanym jeszcze przez parasol mojej towarzyszki, można było wieść długie rozmowy. Usłyszałem spowiedź niewątpliwie nieszcześliwej dziewczyny, sieroty, która cudem uniknęła śmierci, ale nie zdołała uniknąć wielu upokorzeń, istoty przy tym słabej i bezwolnej. Szczerze współczuję jej losowi, ale niestety, nie mam najmniejszej chęci koić ran zadanych przez innego i przez zły los.

Ta rola nie dla mnie. Nie mam zadatków na duchowego samarytanina.

Te zakusy są mało groźne. Przeczuję jednak, że moja swoboda i niezależność zbliża się do nieuchronnego kresu. W marcu, w święta Wielkiej Nocy zenił się ppor. Piotrowski. Przyczepił się do mnie, bym swoją osobą uświetnił jego samouniعةstwienie. Nie lubię nudnych rodzinnych zgromadzeń i nie miałem żadnej ochoty wznosić toastów za zdrowie młodej pary, które mnie nic nie obchodzi. Noc spędziłem z panią H. i wróciłem do domu zalany, z jednym tylko pragnieniem, by czym prędzej położyć się i odbudować stracone siły. Piotrowski nie darował, przyszedł i wyciągnął mnie na ucztę weselną. Byłem na niej jedynym kawalerem, nie licząc ppłk. Wołyniaka.

W codziennym, grubym mundurze, nie ogolony i chwiejący się na niepewnych nogach, nie mogłem wywrzeć dobrego wrażenia na zebranych. Kręciło mi się we łbie i wszystko widziałem w krzywym zwierciadle. Posadzono mnie koło jedynej w towarzystwie panny, która zaczęła ze mnie kpić w żywe oczy, bynajmniej nie krępując się. Widziałem ją jak przez mgłę: jakaś tęga, nalana i bezzębna.

Byłem wściekły na siebie, na nią i wszystkich obecnych, którzy – widziałem to – bawią się moim kosztem. Zaczęłem pić, prowokując moją sąsiadkę. Sekundowała mi dzielnie, nie przestając dogryzać na temat „nie matura, lecz chęć szczerą...”. Miałem chęć dać jej po bezzębnej buzi i pójść sobie do stu diabłów.

W miarę jednak coraz częściej wychylanych toastów, zacząłem trzeźwieć (co znaczy prawdziwa polska natura) i jaśniej patrzeć wokół siebie. W pewnej chwili stwierdziłem, że siedzę obok ślicznej, młodziutkiej dziewczyny, o cudnych zdrowych zębach, równie ostrych jak jej język, którym stara się mi docinać. Równocześnie słyszę swój własny głos, którym operuję ze swadą i dowcipem. Widzę i czuję, że nasz pojedynek na słowa jest ośrodkiem zainteresowania całego grona weselnych gości, że nastąpiła także metamorfoza nastrojów i sympatii do mojej, mało reprezentacyjnej osoby. Ukoronowaniem wszystkiego były moje, jak najbardziej szczerze i nie mniej gorące oświadczenia, a szczytem tej korony – przyjęcie ich, aczkolwiek z rezerwą.

RELACJA przyszłej żony

Na przyjęciu weselnym mojej stryjecznej siostry posadzono mnie obok miejsca zarezerwowanego dla kogoś ważnego. Z drugiej strony sąsiadowałam z sympatyczną parą małżeńską. On w stopniu porucznika rozpoczął miłą konwersację. Krążyły kieliszki, wznoszono toasty.

Po pewnym czasie, mimo gwaru, zauważyłam, że wszedł ktoś bardzo wyczekiwany. Przedstawiono nas sobie wzajemnie i młody mężczyzna w stopniu kapitana zajął zarezerwowane miejsce obok mnie. Sprawiał wrażenie niewyspanego, był w sukienym mundurze – jakby wracał z poligonu po ćwiczeniach, a nie przybył na uroczystość weselną w święto wielkanocne. I już po kielichu, pewnie dla odwagi, co w moim odbiorze pogarszało sytuację. Poczułam niechęć, wręcz złość, która rosła w miarę, jak pan młody czynił mu wyraźne honory. Byłam i tak już rozczarowana, że na ślub i przyjęcie zaproszono mnie samą, bez osoby towarzyszącej. Niespodziewanie dla siebie zaczęłam odpowiadać złośliwie na leniwe próby konwersacji przybysza. Gdy usłyszałam własny głos wypowiadający funkcjonującą wówczas złośliwą formułkę „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”, poczułam się z tym bardzo źle.

Brnęłam dalej już tylko rozpędem; jednocześnie nastąpił pierwszy dzwonek ostrzegawczy. Weszliśmy na temat literatury. Uświadomiłam sobie, że mój adwersarz jest czytany bardziej ode mnie. Ja „połykałam” książki, nie mając na to ani czasu, ani warunków. Mimo młodego wieku musiałam bowiem godzić i pracę, i naukę jako studentka pierwszego roku na KUL-u z opieką nad młodszą siostrą. W czasie tych moich myślowych wędrówek coś się zmieniło. Pan młody i mój sąsiad zniknęli na moment. Po powrocie kapitan z determinacją i energią sięgnął po kieliszek, który został natychmiast napełniony i wypity ponownie. To jego zachowanie nie przypadło mi do gustu, zwłaszcza że przyglądał mi się intensywnie.

Ożywienie sąsiada rosnęło, a jego wypowiedzi stawały się coraz bardziej błyskotliwe. Ku zdziwieniu mojemu i otoczenia, które cały czas nas obserwowało, sytuacja zmieniła się na korzyść mojego sąsiada-dyskultanta. Co się dzieje? Wcześniej nie zwróciłam uwagi, że gdy nas sobie przedstawiano, przy stole powiało jakby oczekiwaniem.

Czerwiec

Skąd miałam wiedzieć, co wiedzieli prawdopodobnie wszyscy pozostali biesiadnicy, że pan młody i nie tylko on, wykorzystał obecność na weselu jedynej panny i jedynego kawalera i że ten jedyny kawaler potrzebował mocnego kielicha, aby otrzeźwieć i zobaczyć mnie. Czyli miałam rację co do jego stanu w momencie przybycia na wesele. Dlaczego jednak wprawiał się w taki stan ten inteligentny, ciekawy człowiek?

Przyjęcie zbliżało się do końca. Zgodziłam się by mój sąsiad odprowadził mnie. Obserwowałam zmiany zachodzące w nim i we mnie niejako z boku. Z zaskoczeniem usłyszałam jego oświadczenia przy pożegnaniu. Zachowałam się, jakbym je przyjęła, aczkolwiek z rezerwą. Powtórzył je przy najbliższym spotkaniu, już następnego dnia.

Od tego dziwnego wieczoru minęły już dwa miesiące, a ja jeszcze nie wiem, na jakim świecie żyję. Spotykamy się, kłócimy, znów godzimy. Nie ulega wątpliwości, że tym razem to już „wpadłem”. Ale nie poddaję się, bronię przed samym sobą swojej wolności. Szczególnie jestem dzielny z dala od Niej. Bronię się w sposób typowo pijacki – klin klinem, ale to nie pomaga, zarówno w pijaństwie, jak i w miłości.

Poznałem teren. Z Gałązką objeżdżiliśmy wszystkie nasze garnizony, grupy i grupki. Z okazji akcji poboru rekruta. Gdzie nas nie zaniosło! Zakamarki, o których nie miałem pojęcia, że istnieją. Pielgrzymka ciekawa, pociągająca swoją niecodziennością i egzotyką, choć niezbyt bezpieczna. Jechaliśmy uzbrojeni po zęby. Bez przygód nie obyło się, ale wszystko zakończyło się dobrze. Gałązka okazała się kumplem dobrym do wypitki i do wybitki. Zarówno do jednego, jak i drugiego okazji nie brak. W powiatach znaleźli się moi koledzy ze szkoły, którzy czując się gospodarzami na swoim terenie przyjmowali nas ze staropolską gościnnością.

Rozumiem, że spełniam tu ważną misję i nie żałuję, że poświęciłem jej karierę jakiegoś inżyniera czy innego specjalisty w cywilnym garniturze. Przeżywane trudy i niewygody, niedożądanie, niedosypianie, mróz i deszcz bez przeszkód atakujący nas w odkrytym Willysie – to drobiazg w porównaniu z satysfakcją, jaką daje przekonanie o ważności spełnianych zadań. Z Pszenickim współpraca ułożyła się. On nie jest złym człowiekiem. Ma swoje nawyki, jest despotyczny, ale myślący i czujący. Posiada wiele doświadczenia i mądrości życiowej. Umie docenić rzetelną pracę innych i odróżnić prawdziwy wysiłek podwładnych od pozy i objawiania się. Z oficerami też dobrze ułożyłem swoje stosunki. Jeśli chodzi o życie się z terenem – nie jestem już gorszym od nich, a wiedzą gorzej.

Odbyłem podróż, z której wrażenia zachowam na zawsze. Wspólnie z chor. Trznadłem pojechałem do grup wysuniętych najdalej na południowy wschód, na tereny, na których buszowały niegdyś bandy UPA. Dotąd zapuściłem się w te strony tylko do powiatowego H. Teraz wyruszyłem jeszcze dalej. Z H. autobusem jakiejś spółdzielni dojechaliśmy do Dołhobyczowa. Po drodze oglądałem puste pola i ślady, gdzie dawniej musiały być wsie i osiedla. Teraz ich nie widać, ale ludzi spotyka się, więc gdzieś żyją i mieszkają. Mój towarzysz objaśnił, że w norach i ziemiankach. Dołhobyczów, kiedyś wielka i zasobna wieś, teraz – pusty, z czerwonej cegły kościół mający swoją legendę i kilka nędznych chałup. W jednej z nich sklepik, gdzie można dostać wódkę i papierosy. Tu koniec trasy. Dalej Dzikie Pola. Ruszamy pieszo. Jest cudne czerwcowe popołudnie. Słońce schyla się ku zachodowi, ale grzeje solidnie. Idziemy resztką klinkierowej szosy robiącej wrażenie wąwozu. Jego zbocza stanowią roślinność. Barwna, odurzająca różnorodnością woni, bujna, przemożna. To co z okien autobusu wydawało się pstrym kobiercem, teraz jest dżunglą. Trawy, zdziczałe zboża i najrozmaitsze zielsko. Ziemia musi rodzić, a ta ziemia jest najżyźniejsza w całym naszym kraju. Rodzi więc co może, bo ludzie jej nie obsiali. Ludzie użyźnili ją – składając w ofierze siebie. Na ich umęczonych ciałach wyrastają olbrzymie łopuchy, osty, pokrzywy. Jest tak niewypowiedzianie pięknie i ... strasznie. Ciszę potęguje monotony szum milionów pszczoł uwijających się nad tą płataniną zielska. W górze brzęczą skowronki. W uszach dzwoni, bo ucho ludzkie odwykło od głosów dzikiej natury. Naturalnych dla naszego ucha dźwięków nie ma. Ściągamy automaty, machinalnie obmacujemy kieszenie wyładowane, jak zwykle, granatami. Można marzyć, że się jest w innych czasach, ale nie można oczekiwać, że na nasze spotkanie wyjdzie Mały Rycerz czy rubaszny Zagłoba. Spotykamy dzikie koty, króliki. Smygają z jednej ściany zielonego buszu w drugą i tylko szelest zielska zdradza kręte ścieżki ich nowego życia. I tylko czasami wietrzyk zaszeleści i mocniej słychać chór pracowniwej armii pszczoł, bo słońce już zachodzi. Przyspieszamy kroku. Trznadę, który nigdy w życiu nie czytał Sienkiewicza i któremu wzruszenia tego typu, jak konfrontacja dzikiej natury i konfrontacja rzeczywistości z fikcją literacką wydają się obce – uległ jednak czarowi Dzikich Pól. Też przeżywa tę nadzwyczajną podróż, ten niecodzienny krajobraz, to spotkanie ze zdziczałą przyrodą – wynikiem zdziczenia ludzi.

Kępa drzew. Rozrosłe, olbrzymie w tym morzu prawie płaskich pól. Chorob-

rów. To pusta nazwa oznaczająca, że dawno temu była w tym miejscu piękna wieś, tonąca w sadach i drzewach. W dwu ocalałych chałupach rozlokowała się nasza placówka. Domy obszerne, zdradzają zamożność ich dawnych mieszkańców. Na miejscu setki innych zagród roślinie dwumetrowej wysokości zielsko. Zdżiczałe zarośla malin, porzeczek, ogrodowych kwiatów stwarzają gęszcz nie do przebycia. Strach zapuszczać się po nocy w tę niesamowitą dżunglę wyrosłą na miejscu żyznych ogrodów i sadów. Jestem w stancji z czasów Wołodyjowskiego. Nasi żołnierze swoją tu obecnością przygotowują grunt do przywrócenia życia tym pięknym ziemiom, zhańbionym bratobójczą walką, cofniętym w swym rozwoju o wieki całe. Za nimi przyjdą traktory, zaorzą, zasieją. Ta ziemia wyda plony, ale pod warunkiem, że znikną z niej zdżiczali bandyci, zdżiczałe koty i króliki. Na kolację zjadam królika upieczonego w żarze ogniska. W zaroślach wydzierają się słowiki. Dziką stancją żyje dzikim życiem. Żołnierzom to nie przeszkadza, a ja nie mogę usnąć do rana. Przeszkadzają mi te niecodzienne odgłosy. Potem przeszkadza mi Bohun czający się gdzieś w pobliżu, a może to Azja Tuhajbejowicz? Obudziłem się, pomimo to, rzeźki i wypoczęty jak nigdy, ale wrażenie, że cofnąłem się w czasy Chmielnickiego nie minęło.

Dalsza wędrówka, dalsze wgłębienie się w historię i literaturę. Krystynopol – Kraszewski; Bełz i Waręż – Sienkiewicz. Krystynopol – kupa pustych gruzów i bujne zielsko. W Warężu ocalały mury kościoła i jakiegoś klasztoru. Są nawet tablice informujące o czymś, co trudno odczytać, bo kule i rdza zatarły napisy. Zdołałem odcyfrować imię, Johannes Sobieski. Tak, to te same tereny. W Uhnowie i Bełzie trochę ludzi, miasteczka budzą się powoli do życia. Buduje się linię kolejową, bez której trudno ożywić tę pustynię. Wróciłem do X, ale Dzikie Pola przesładują mnie w dzień i w nocy. Budzę się przerażony tym, co przeżywam we śnie. A jak reagują ludzie, którym udało się wyrwać z tego piekła? Był na froncie w mojej jednostce pewien kapral. On stracił całą rodzinę i bliskich. Na słowo Ukrainiec ogarniał go szal, a kiedy wziął jeńca z dywizji SS-Galizien zmasakrował go w nieludzki sposób. Miał pójść pod sąd. Obroniła go powszechnie panująca opinia, że jest nie-normalny. Rzeczywiście, ten olbrzymi chłop był jakiś nie z tego świata. Teraz go rozumiem.

cdn.



Stanisław Grabowski

Czy odnajdziecie tylko siebie?

Próba interpretacji wiersza pt. „Ja” Jarosława Zielińskiego

Ja

*A może jestem tylko samotnym wędrowcem
ciemną sylwetką w świetle latarń
I nikt nie ujrzy mnie płaczącego
nad grobem przyjaciela
Nie mam przyjaciół i nie umiem płakać*

*Jestem głosem waszego świata
waszych myśli...
małym chłopcem zastygłym w biegu
nie dorosłym, choć widzącym tak wiele
by bieg stał się wiecznością*

*Wy, którzy chcecie mnie wysłuchać
chcecie mnie odnaleźć
Usłyszcie mnie
ale odnajdziecie tylko siebie*

Czytam na okrągło wiersze **Jarosława Zielińskiego** (1971-2012) z tomu *Słowa i linie* (2012). Przywiązałem się do nich. Próbuję rozszyfrować świat poetycki, inny od mojego, inny od innych poetów. Swoje utwory Zieliński utrwalił na papierze. Zostały opublikowane, czyli stały się publiczną własnością. Każdy może do nich sięgnąć, przeczytać, zamyślić się lub też odstawić na półkę bez większego wrażenia. Ostrzegam. To nie jest dobre posunięcie. Te wiersze należy czytać często i starannie, zastanawiać się nad każdym słowem. Jest to tym istotniejsze, iż poeta nie żyje. Sam nie objaśni, co chciał nam powiedzieć. Tego musimy dokonać samodzielnie. A to wymaga czytelniczego wysiłku, wymaga koncentracji. Ręczę jednak, że warto poświęcić poecie nieco czasu, by stwierdzić, iż lektura tomu *Słowa i linie* jest orzeźwiająca, to jak odnalezienie źródła, kiedy chciało się pić w upalny, bardzo upalny dzień...

W kwietniu 1987 roku, Jarosław Zieliński pisze wiersz pt. *Ja*, który składa się z trzech nierównych zwrotek, nierymowany, wolny. I już tytułem kieruje na siebie uwagę. Czytelnika, podkreśla jego autobiograficzny charakter. Pamiętacie, jak zaczynają się *Dzienniki Gombrowicza*: „Poniedziałek Ja. Wtorek Ja. Środa Ja. Czwartek Ja”...

O roli autobiografii w literaturze odsyłam do tekstów Zimanda, Czerwińskiej czy Lejeune... Jedno mnie tylko intryguje, że badacze jakby nie zauważali jej w poezji. Dlaczego? Nie będę tego rozstrząsał. W każdym razie nie może to nie dziwić. Przywołam tylko jako przykład lirykę Miłosza, ale obok niego ileż można wymienić nazwisk poetów i to największych.

Omawiany wiersz Zielińskiego, poza wiadomymi akcentami, ma, na co należy

zwrócić uwagę, także charakter deklaracji, i to polemicznej. Zaczyna się tak:

A może jestem tylko samotnym wędrowcem

To jakby odpowiedź na pytanie zadane poecie. Ale przez kogo, kiedy i dlaczego? Czy twórca dyskutuje sam z sobą, czy jest to echo rozmowy z kimś realnym? Jedno jest niewątpliwe, wers ma charakter polemiki.

„Samotny wędrowiec”, to postać obecna w literaturze od jej początków. Czyż nie byli nimi np. Odyseusz, Don Kichot, kapitan Ahab, że poprzestaną na nich trzech. Motyw samotnej wędrowki odnajdujemy także w malarstwie czy w filmie (np. *Samotny jeździec*, 1964). Ale, w omawianym przypadku, czy jest to celowy zabieg twórcy, czy raczej wymuszony?

Drugi wers w wierszu Ja ściśle wiąże się z pierwszym:

Ciemną sylwetką w świetle latarń

Czy nie jest to rodzaj oksymoronu? Albo inaczej: jak rozumieć epitet ciemna? Czy skojarzenie z chińskim teatrem cieni nie byłoby tu na miejscu? Do dziś popularny jest w krajach Dalekiego Wschodu. Czy widział go kiedyś poeta?

*I nikt nie ujrzy mnie płaczącego
nad grobem przyjaciela*

To kolejne dwa niepokojące wersy. Przypominam, ich autor ma zaledwie 16 lat. W tym wieku, tak sędzę, pewność jest niepewna. Dlatego należy chyba zadać pytanie: czy wiersz powstał pod impulsem chwili, czy też jest efektem głębszych przemyśleń? Tym bardziej, że poeta powyższe wyznanie wzmacnia następnym wersem o tej samej wymowie:

Nie mam przyjaciół i nie umiem płakać

16 lat to wiek młodości, to czas nawiązywania dopiero trwałych przyjaźni, niejako rozpoznawania świata, szukania bliskich sobie osób, np. pod względem ideowym... Ale oto poeta jakby tę fazę życiorysu miał już za sobą. Czyżby nie wierzył w przyjaźń, zawiódł się na niej? Słowu „przyjaźń” brakuje zdrobnienia. To niezwykle ważne słowo, z którym łączy się nie tylko odpowiedzialność, czy bezwzględna lojalność wobec drugiej osoby, ale także całkowite zaufanie jej.

Jarosław Zieliński nie zrezygnował z publikacji wiersza Ja w tomie wydanym w

2012 roku, czyli dwadzieścia pięć lat od jego napisania. Dlaczego? Czy dowiemy się kiedyś? Czy będziemy się tego tylko domyślać? Czy dostatecznie nam wytłumaczy „samotność” poety jego ponadprzeciętna wrażliwość i inteligencja? Zapewne np. w szkołach, do których uczęszczał nie odnawiał ludzi o podobnych sobie zainteresowaniach lub też może ich nie szukał? Bo przecież jeśli np. początkujący poeci natrafiają na siebie, to co tworzą? Na ogół grupę literacką. Wystarczy zajrzeć do leksykonu Ewy Głębskiej (Grupy literackie w Polsce 1945-1989), by przekonać się, że często początkiem działalności takiej grupy było spotkanie kilku podobnie wrażliwych rówieśników w liceum, czy na studiach, a miejscem ich działania mogło być wpięty prywatne mieszkanie, dopiero później jakaś instytucja kulturalna.

Przyszły poeta po kilku latach spędzonych w innej dzielnicy Warszawy zamieszkał na nowo budującym się Ursynowie. Pierwsze myśli o działaniu w grupie mógł powziąć już w szkole podstawowej. To często miejsce ważnych i trwałych przyjaźni.

W poetyckim zbiorze Zielińskiego z 1994 roku jest wyznanie, które należy zacytować: „Wiersze zacząłem pisać w szkole podstawowej. Nie ma co pisać »w czasach, gdy chodziłem do szkoły podstawowej«, bo wiele z nich pisałem dosłownie w ławce szkolnej, podczas lekcji”. O spotkaniu kolegi o podobnych ambicjach czy zainteresowaniach literackich nie znajdujemy jednak ani słowa. Zadajemy pytanie: czy te pierwsze wiersze były wyrazem „buntu”, nieprzystosowania do szkolnego życia czy też sygnalizowały „odmienność” twórcy na tle siermiężnej klasy?

Z innego źródła wiemy, że Jarek, jako uczeń podstawówki, był członkiem zespołu tańca ludowego „Jaromiry” czyli związanego z osiedlem Jary, z Ursynowem. Jednak, czy znalazł w tym zespole tzw. bratnią duszę? Tego też nie wiemy. Później była nauka w liceum i kolejne próby pisarskie, których nie zniszczył (to się twórcom często zdarza). Część z nich ujrziała światło dzienne w 1994 roku, kiedy autor miał 23 lata. Czyli uznał je za wystarczająco dojrzałe, by mogły trafić do czytelnika. Z Notesu, który po nim został, dowiadujemy się, że mało kto wiedział o jego poetyckich planach, jak też, że nie widział wówczas koło siebie kogoś o identycznych pasjach, wspartych twórczym talentem.

Później mamy czas studiów, czas dalszego pisania, poszerzania pisarskiej sprawności (doszły nowele SF, teksty dziennikarskie), także kontakt z Klubem Tfurcuf. Rafał Ziemkiewicz, Tomasz Kołodziejczak, Maciej Śnieżek, to tylko niektórzy z tych, z którymi spotykał się poeta. Jednak to, co tamtych fascynowało to była przede wszystkim literatura fantasy. Na dodatek należy pamiętać, że w *Postwoju* do tomu Zielińskiego Sytuacja krytyczna (2013) czytamy: „[...] po organizacyjnych doświadczeniach w szkolnych samorządach wolę być raczej samotnym wilkiem niż chodzić w kieracie”. Dlatego można ostrożnie wyrokować, iż Jarosław Zieliński przez długie lata liczył na spotkanie przyjaciela-poety, co jednak się nie spełniło. Chociaż warto przypomnieć, że pozytywnie zapamiętał pierwsze spotkanie z czytelnikami w Centrum Łowicka, które odbyło się 9 października 1996 roku, dzięki życzliwości Agaty Skowron-Nalborczyk, też poetki. Tak o tym pisał: „Wieczorek poetycki był ciekawym przeżyciem – czytanie moich wierszy (i to nie przeze mnie) rozmowa o nich w kilkunastoosobowym gronie”. Do mokotowskiego domu kultury, gdzie znajduje się Centrum Łowicka, jako uczestnik spotkań z młodymi twórcami, wracał później kilkakrotnie.

Przeciwieństwem pierwszej zwrotki wiersza, jej zaprzeczeniem, jest jego druga zwrotka:

*Jestem głosem waszego świata
waszych myśli...
małym chłopcem zastygłym w biegu
niedorosłym, choć widzącym tak wiele
by bieg stał się wiecznością*

Jaką rolę przypisuje tu sobie poeta? Mówiąc najprościej: jest jakby przekaznikiem, kimś kto doskonale rozpoznaje świat, a na dodatek potrafi nam go objaśnić, zna też nasze myśli. Przy okazji buduje portret chłopca (dziecka), a więc kogoś czystego, nieskalanego, spoza „układów” związanych z dorosłymi. Nie sięgnę do Psychologii rozwojowej dziecka, ale warto zajrzeć np. do dwutomowych *Dzieci* (1988) pod redakcją Marii Janion i Stefana Chwina, które pozwalają i na głębszą, i na bardziej wyrafinowaną refleksję nad dzieckiem, dzieciństwem etc. Gdyby zajrzeć do mitów i baśni postać dziecka jako istoty całkowicie niewinnej, a na dodatek obdarzonej niezmierną mocą też nietrudno byłoby tam znaleźć. Czyż to nie kruczata dziecięca (patrz: Brama rajy Jerzego Andrzejewskiego) na początku XIII wieku „przez czystość” serca miała wyzwolić Jerozolimę?

Dlatego ów niedorosły z wiersza *Ja* widzi wystarczająco wiele by bieg stał się wiecznością. To niepokojące słowa, jak te z wiersza napisanego wcześniej, bo w styczniu 1986 roku: *A gdy nie potrafisz już / utrzymać ciężaru świata / Jest jedno wyjście / skok w ciemność... / lot do gwiazd?* (Lot

do gwiazd). Uważna lektura tomu *Słowa* i linie przynosi więcej takich wersów, które sięgają eschatologii. Trudno przy tym nie zauważyć konsekwencji poety. Co oczywiste, w tej książce nie brakuje też różnie zakamuflowanych momentów biograficznych.

Trzecia zwrotka również nie przekazuje nam mniej lub bardziej banalnego biograficznego obrazka. Znowu jest wyzwaniem rzuconym wszystkim:

*Wy, którzy chcecie mnie wysłuchać
chcecie mnie odnaleźć
Usłyszeć mnie
ale odnajdziecie tylko siebie*

Czy jesteśmy w stanie, sugeruje autor, zrozumieć drugiego człowieka, np. bezinteresownie podarować mu coś od siebie (to ważna cecha przyjaźni), wysłuchać go uważnie, żeby poprzez kontakt z nim spojrzeć także na siebie? Poeta nie jest optymistą. Chociaż odnaleźć tylko siebie, czyż to nie jest dla nas jakiś promyk nadziei?

Stanisław Grabowski



Apteka zaufania

Jak mam dalej żyć? Ludzie jeżdżą samochodami. Wyjeżdżają na wczasy. Mają wszystko nowe, a jak się teraz stroją! Biegają po sklepach, jakby im wszystkiego było mało. Ciągłe tylko zakupy, zakupy... Skąd oni na to wszystko biorą pieniądze? A co? Ja nie pracowałam? Też pracowałam! I co? I nic! Co mam? Stare mieszkanie, w starej kamienicy, wszystko stare! I ja też stara! Stara, zgnusiała baba, która w życiu tylko wszystkim pomagała. A kto mi teraz za to zapłaci? Kto się odwdzięczy? Kto mi pomoże? Kto o mnie teraz chce pamiętać? Niezdarna nawet dla własnych dzieci. Wstydzą się mnie! Bogacze! Oddałabym za nich życie, ale oni tego nie chcą. Stara! Jestem jak wysłużona lodówka – już niepotrzebna! Chociaż dobrze, że mało jem, to prawie na leki wystarcza. A zresztą, pani w aptece zawsze daje na zeszyt. Mogę się do niej wyzalić. Jest lepsza od własnych dzieci.

Ciekawe czy na mój pogrzeb zdążą? A może panowie, „tragarze cementarni”, będą mnie nieść, bez rodziny, samotną za życia, a samą po śmierci? Wczoraj rano widziałam przez okno jak czterech, żałośnie ubranych facetów, niezdarnie niosło trumnę z rzuconymi na niej jakimiś kiepskimi kwiatkami. Ciekawe czy tam..., już na cmentarzu ubiorą marynarki? A może to była trumna tylko „na niby”? Nagroda w konkursie jakiegoś teatru? Jeżeli tak, to po

co leżały, a raczej zsuwały się z niej kwiatki? Zapanowały jakieś nowe zwyczaje, słyszałam, że teatr w ten sposób promował jakąś sztukę. A trumna była nagrodą w konkursie! To jest bardzo kontrowersyjne. Jednak dzięki temu bilety szły jak przysłowiowo świeże bułeczki. Mnie to nie obchodzi. Nie mam pieniędzy na bilety do teatru. A może ten konkurs jest dla takich jak ja! Jedyna szansa na zdobycie ostatniej pośmiertnej „szkatułki”?

A moje dzieci? Może mnie pochowają? Chociaż, jak się zastanowię, to mogą nie zdążyć na mój pogrzeb. Przecież mogą być na jakichś Malediwach albo innych Seszelach. Nie będę do nich dzwoniła, nie będę żebrała, niech się mnie wstydzą. Meble wymieniają co dwa lata, mnie też już zmienili. Nie, nie zmienili, tylko jestem już jak zbędny przedmiot, jak przypalony garnek albo stara pralka. Przecież już niepotrzebne. Można się wyzbyć! A ja, głupia, myślałam, że spędzę cudowną starość. Żeby chociaż raz wzięli mnie nad morze. Nigdy nie widziałam plaży, nie byłam w górach. Tylko dom, praca, dom, praca i wakacje nad rzeką u cici. Miałyby wakacje, gdybym jej nie gotowała. Na pewno! Ale dobrze, że mogliśmy wyjechać, dzieciaki chociaż nałykały się świeżego powietrza. A co się nabawiły, nagrały w piłkę – to ich. A obcych dzieci tam było co niemiara! I moje takie były szczęśliwe. Wybawiły się za cały rok! Lubiły tam jeździć. Kiedy wracaliśmy to Mój na nas czekał i był taki stęskniony. To znaczy, tak mi się teraz wydaje. Jak szybko go zabrałeś? Boże ty mój. Jak mogłeś zostawić mnie samą, bez pomocy? Skazaną na samotność. Nie będę chodzić do kościoła. Nigdy! Nie chcę, żeby potem sąsiadki mówiły, że jestem moherowym beretem! O nie! Nigdy! Niech mnie widzą zadbaną, szczęśliwą, niech myślą, że jestem najszczęśliwsza z całej kamienicy. Dobrze, że nie przychodzą do mnie i nie widzą mojej biedy. To by się dopiero cieszyły! Wszystko stare! Ale czyste! To jest najważniejsze! Nie jestem brudasem!

Może chociaż włączę tego starego grata, niech zagłuszy moją..., nie wiem, boję się takich słów, ale taka jest prawda – moją samotność. Już o tym dzisiaj raz myślałam, jak przypomniał mi się Mój. Taki jest los, kiedy człowiek zostanie sam.

Teraz mam tyle czasu na książki. Nigdy nie mogłam tyle czytać. A teraz, jak jakaś wielka pani profesor czytam, czytam... Ona była mądra za młodu, ja mądrzej na starość. Teraz wiem tyle o świecie! Wiem jak było, co będzie! Czytałam Nostradamusa, ale on nawymyślał. Kiedyś nawet przeczytałam kilka książek Platona. Dziś nie jestem taka głupia jak kiedyś, ale dzieci myślą, że nadal jestem półgłówkiem albo półgłupkiem. Jakoś tak mnie nazywał mój bogaty zięciulek. Inteligent się znalazł, cudem skończył średnią szkołę, a zacho-

(Dokończenie na stronie 19)

Zamyślenia



Emigracja

Często zadawaliśmy sobie to pytanie: po co właściwie tu jesteśmy i czym gest dla nas to wyświechtane już słowo – emigracja? Jedyńą odpowiedzią jest wierząca się uparcie pod powieką... łza. Cóż, szukanie odpowiedzi na tego rodzaju pytania jest wypatrywaniem kręgów na wodzie po dawno temu rzuconym do niej kamieniu. Przyływy i odpływy nostalgii. Słowo: tęsknota, przelewa się w nas falą czasami tak gorzką, jak czyn Kaina. Kiedyś zamieszkało w nas pojęcie szukania miejsc nieznanymi, ale czyż ką, w którym owa chęć zamieszkała, był właściwym miejscem? Mijały lata i nasze przetrwanie stawało się prawem. Rzucaliśmy od czasu do czasu to spojrzenie za siebie, by dowieść samym sobie prawdę, że zbyt już daleko pozostał tamten brzeg; dom, wierzba, która dziwnie jakoś skarłowaciała. W ten sposób zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co nazywaliśmy: dokonaniem czasu. Na początku czas ten stanowił coś nieokreślonego i niezdefiniowanego do końca.

Tułaczy szlak przyjął w swoje koleiny ślad naszego wozu, ślady naszych stóp, stapiając je z zagubionymi śladami tych, którzy przeszli ów trakt przed nami, dawno temu. W ten sposób lata te przecieły nam przez palce aż do dziś. Odstawiliśmy białą laskę, gdyż wszystko stało się już jasne. I pełno po kątach naszego domu nowych świętości, tych bez aureoli, ale swojskich. Nie ma tylko tej jednej... matki, która zwoływała na wieczerzę w ogrodzie... W ten miodny ranek jest stół, ławka przy nim siostrami strojna, wątle plecy matki schylone wpół, na stole misa jadła pełna... Kim stały się dla nas właśnie

matki, kiedy inne tu ściany i lśniąca podłoga z rozbłyskiem neonu, a w kącie gęba super telewizora wyziera? Przychodzą we snach do nas, przyjmujemy je gościnnie, po staropolsku, przyjmujemy sytą gością wydartą z kolorowych pudeł, słoików i opakowań i rozmawiamy z nimi z coraz gorszą dykcją, lecz metaforycznie, bojąc się upokorzenia. Zaglądają nam w oczy. W ich oczach łyż światu, który wyrasta w oknach. Pytają: wrócisz, córko? Wrócisz, synu? Tylu już się przed nami zarzekało. Bali się jedynie wygłodzonych myszy w domu, którego ściany popękały, a czyjeś litościwe ręce zabiły deskami okna. I teraz każda następna chwila dzieli nas, sobą od siebie. Żegnając się, nie wymawiają naszych imion, które brzmią obco i mogą stać się zgrzytem w gardle. W ten sposób spędziliśmy wiele nocy razem. Nawet nie zliczysz ile... Nasze powroty... I oto jestem – matko – w domu twoim, na skoblu furtki zatrzymałem dłoń. Czy moje rany tułacze – matko – zagoi, ten opuszczony przed laty dom?

Kazimierz Iwosse

Genowefa
Jakubowska-
Fijałkowska

Madagaskar

znalazłam kamień celestyn

jakie to cudne imię dla mężczyzny
który mógłby zostać

moim planetarnym władcą

wibracje kamienia i tego mężczyzny
zawieszę na szyibędę wpadać w krater wulkanu długi
do środka ziemi

do mężczyzny

Matko żabo

uratuj mnie kijankę w tej wodzie
w kuli skrzekuw sznurze roślin stawu szukaj mnie
jak opadnę w mule wodnym

ratuj mnie kijankę

jak urodzę się żabą
wrócę w miejsce godowe

do ciebie matko żabo

Iskanie małp

palcami paznokciami zębami
przeczesuj włoski na mojej skórzerzęsy brwi włosy łonowe i pod pachami
zjadasz wszy kleszcze mrówki motyle

moje słowa

endorfiny wprawiają mnie
w stan euforyczny przy iskaniupo iskaniu
samotność na drzewach orangutanówDagmara
Kacperowska

Filozofia trwonienia

i nic ponad kolejny
bieg tej samej rzeki. nieuchwytny
oddech podróżujących pośród ziarenek
piachu w szkarłatnych pęcherzach.
z plusem, z minusem, z całą tą filozofią
trwonienia i egzaltacją przemijania.
jakby nie było innej legendy
o World Trade Center, Biesłanie,
czy londyńskim metrze.
tylko kolejna
o Aleppo, w którym codziennie rozdają
ogień,

by nakarmić głodnych.

Brzoskwinia

Ubrana w aksamit
brzoskwiniowej skóry
wabię
jesteś jak owad
nachalnością dotyku
sięgasz mięszu
pozbawiona ciała
lewituję

Kozetka (20)



Ogród Hesperyd

Założyć ogród, to
uwierzyć w jutro.

Audrey Hepburn

Joanna Friedrich

Dużo blogerek pyta: Chcesz wiedzieć, jak wygląda mój dzień? Pewnie następnym pytaniem będzie: „Chcesz wiedzieć, jak wygląda moja noc?”

(Do mitologicznego ogrodu Hesperyd można było wejść tylko po zmierzchu...)

Ludzie zapraszają się „do siebie” głębiej i głębiej.

Nasze czasy powinny być końcem hipokryzji i obłudy.

Epoką wolności.

Pochwałą dnia przed zachodem słońca. Czy tym charakteryzuje się wolność? Zależy, czy w miejskiej dżungli, czy w dżungli naturalnej.

Skoro taki jest człowiek, ciekawski i atawistycznie nastawiony na „polowanie”, dlaczego to kwestionujemy?

Rozwój niejedno ma imię.

Jeśli natura człowieka jest zmienna, to ciekawa jestem gdzie są tego granice.

Zaglądamy sobie do talerzy i do łózek, pod powieki, „focimy swoje kropłówki” w szpitalach, i często, bardzo często naśladujemy się nawzajem.

W dżungli życia ważna jest pomysłowość.

Być o krok przed innymi, nie wahać się wierzyć w siebie, to wyższa szkoła jazdy. Umieć się znaleźć w szeregu, odnaleźć w grupie – to sztuka. To już nie tylko piramida Masłowa, czy drabina społeczna, to różne mechanizmy z róż-

nymi niespodziankami, które każdy osobno spotyka na swojej drodze. Coraz częściej, szukając spokoju, odpoczynku i ciepła.

Najbardziej, ogrody w dżungli miejskiej, przypominają salony fryzjerskie. To oazy wytchnienia. Fryzjerzy niczym wytrawni ogrodnicy, układają nam na głowie świat na nowo. A i w głowie się wtedy inaczej układa.

Łagodne oświetlenie, bycie w centrum zainteresowania, masaż głowy, szemrająca woda, obezwładniający zapach kosmetyków, dotyk „magicznych rąk” i błysk fryzjerskich nożyc...

Chwilowe odłączenie od świata. Człowiek słyszy, że jest WYJĄTKOWY. Ta bezcenna uwaga jest jak wytrych.

Fryzjerzy są w posiadaniu tajemnic, o których opowiadać można by długo. (Szamani mówią, że włosy mają receptory, o których nam się nawet nie śniło. Może to stąd elektryzująca osobowość stylistów włosów?)

W sam raz na weekendowe barowe rozmowy.

Salon fryzjerski ma wiele wspólnego z tymczasowością atmosfery pociągu, kozetki psychoterapeuty i oranżerii. Z kawiarnią.



To centrum metamorfoz. Kontaktu Wyższego Szczebła. Z samym sobą. O to – zadbają wszędobylskie lustra. Na co dzień tylko aktorzy mają z nimi stały kontakt, a więc także – z sobą.

Przeciętny człowiek nie wie, jak wygląda. Nie przygląda się sobie. Pomija zmiany. Zostawia je „na potem”. Żyje na pamięć.

Dobry ogrodnik, fryzjer i terapeuta wie, że w ogrodzie każda roślina jest ważna, każda pełni istotną funkcję, nie zawsze odkrytą.

Ogrody są pełne tajemnic, jak nie przymierzając Eden.

A kobiety? Wiadomo – to kwiaty...

Jurata Bogna
Serafińska

Zimne ognie nadziei

Nadziei zimne ognie,
Fundament wiecznych powrotów,
Kryształy Epoki Plancka?

Echa pradawnych wspomnień?
Wklejone dzisiaj do spotu,
Sperlone sny poranka?

Nadziei ognie zimne,
Wiecznych powrotów fundament,
Epoki Plancka kryształy?

Już nie ma nikogo przy mnie,
Wiec niebył, chaos zamęt,
Czy dom na podłożu ze skały?

Sens pytań

Zmieniamy sens
Przestawiając słowa.
Po co czynimy
Te słowne igraszki?

Przecież wiemy, że
Metafizyka nadziei
Nie stanie się
Nadzieją metafizyki,

Nasze pytania...
[Potrzebne lub nie]
Powinny być
Dobrze postawione.

Nagroda zwycięzcy

Ogłaszam konkurs
Na gadżet końca
Naszego wieku.

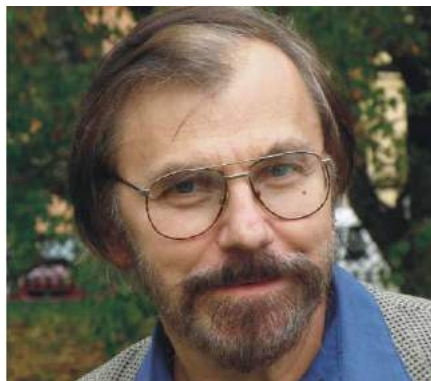
Pytanie główne:
Elektronika
Czy maczuga?

Głos na maczugę
Oddadzą wyznawcy
Teorii wiecznych powrotów.

Jaka będzie nagroda
Dla zwycięzcy konkursu
I kim on będzie... potem?



Listy do Pani A. (105)



„Idzie wiosna, ptaszek kwili”

Droga Pani!

Na szczęście mamy już wiosnę. Może to jednak nie dla wszystkich jest szczęście, np. dla drzew, które masowo giną z przyzwolenia ich... obrońców, przynajmniej nominalnego. I – co za tym idzie – dla ptaków i zwierząt. Dziwi mnie głupota ludzi, którzy w ten sposób i samych siebie niszczą. Ale dobrze. Niech się wytracą. I tak jest za dużo głupich i bezwartościowych osobników. I to wszędzie. Ale też dzięki nim mamy nieustający kabaret. Chcą budować stocznice tam, gdzie od stworzenia świata nie było wody, chcą pisać prośby o audiencję w oborze u pani krowy, co dotyczy również psów i kotów, choć one mają zupełnie dla nas nieczytelny alfabet i nie będą pisać podań w języku człowieka. Kretyni biorą się za wody śródlądowe, co zniszczy środowisko naturalne. Idioci chcą przegnać ptaki, bo one... zanieczyszczają parki. To najlepiej z rzek zrobić asfaltowe autostrady, powycinać całą zieleń, postawić sztuczne drzewa, a zamiast ptaków puszczać drony. Helikoptery z tektury już podobno mamy. Poddają pomysł z dronami kacykom pewnego miasteczka całkiem za darmo. Absurdów u nas jest obecnie więcej niż kiedykolwiek, ale „rząd” działa. I z drugiej strony dobrze. W innych okolicznościach nie powstałoby zabawne „Ucho prezesa”. Co najwyżej... inna część kadłuba.

Dla oczyszczenia się z codziennego szlamu dobrze przenieść się do przeszłości. Może również nie była taka słodka, ale na tle wydarzeń dzisiejszych wydaje się, że bezpieczniejsza, stabilniejsza, mniej głupia, choć – jak to w Polsce – absurdów nie brakowało. Robiłem gruntowne porządki wśród swoich rzeczy i książek. Zaglądałem do pism z lat sześćdziesiątych, do książek z tamtego okresu, do własnych wczesnych publikacji. Przeglądałem dawne zdjęcia, aby to wszystko ułożyć na nowo. Tak otworzyłem dawno umarły świat. Czuję się trochę jak na własnej ekshumacji przeprowadzanej przez samego siebie. Przecież już tyle minęło lat, a w czasopiśmie, fotografiach i książkach ten czas przetrwał.

Zaczęłam oglądać zdjęcia zamieszczone w „Księdze o nagrodzie imienia Włodzimierza Pietrzaka 1973–1977”, opracowanej przez

zespół redakcyjny pod kierownictwem Zygmunta Lichniaka. Wiele tu osób, które dobrze znałem. Między innymi: Michał Rusinek, Jan Dobraczyński, Stefania Skwarczyńska, Zbigniew Dolecki, Henryk Jerzmański, Maria Szybowska, Wojciech Janicki, Janusz Stefanowicz... Osobno wspomnę panią Marię Bocheńską. Została uwieczniona na fotografii zrobionej podczas uroczystości wręczenia 27. Nagrody Włodzimierza Pietrzaka w 1974 roku. Siedzi w pierwszym rzędzie.

Panią Bocheńską znałem wcześniej, kiedy była przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego w moim Liceum Św. Augustyna. Przemiała, pełna uroku i kultury osobistej, piękna dama. Łatwo nawiązywała kontakt z uczniami. Bardzo ją lubiłem i ceniłem. Kilka lat później pracowaliśmy razem w Instytucie Wydawniczym Pax. Pamiętam szczególnie jedną rozmowę, taką zupełnie „praktyczno-codzienną”. Otóż zostałem szczęśliwym posiadaczem limuzyny marki syrena 105. Był to samochód dosyć awaryjny, więc obawiałem się, że – zwłaszcza podczas dłuższych wyjazdów urlopowych – nagle zepsuje się w drodze. Wtedy nie było takiej sieci warsztatów, a o telefonie można było pomarzyć. Z tych swoich, nieco histerycznie wyrażanych, obaw, zwierzyłem się raz pani Marii, która także miała syrenę. „Czego pan się boi?” – usłyszałem. „Że utknę gdzieś po drodze; że przegub się może rozlecieć...” – niemal zapłakałem. „Mnie się nieraz rozleciało” – odrzekła z mocą pani Maria. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. „Tak, tak. Spychałam auto na pobocze, rozkładałam kocyk, brałam narzędzia i wymieniałam. To nic takiego. Pan by też potrafił”. Patrzyłem na panią Bocheńską wielkimi oczami i z nieustającym podziwem. I zaraz lżej mi się na sercu zrobiło.

Książki... fotografie... urywki wspomnień..., przypomnianych zdań... Podczas układania rzeczy na nowo zostały uwolnione. Stąd ów nastrój nieco nostalgiczny, może w czasie wiosenno-świętecznym niestosowny. Ale co ja na to poradzę?

W nieco innym nastroju przebiegał w warszawskim Klubie Księgarza jubileusz osiemdziesiątych urodzin Marka Wawrzkiwicza. Jednak przynam się Pani, że i tu wpadłem w nastrój lekko nostalgiczny. A właściwie wprowadził mnie Andrzej Zieniewicz przywołujący w swoim wystąpieniu cienie odeszłych kolegów: Andrzeja K. Waśkiewicza, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Jerzego Górzkańskiego, Zbigniewa Jerzyny, Janusza Żernickiego... Poeci co najmniej o dekadę starsi ode mnie, ale to i moi przyjaciele, mentorzy; komilitoni – jakby powiedział nieodżałowany Zygmunt Lichniak. Znowu trudno się oprzeć gorzkiej refleksji nawet w tak radosnym i optymistycznym dniu, jak urodziny Marka.

Uroczystość zainaugurowała znakomita Joanna Rawik „Życzeniem” Chopina do słów Stefana Witwickiego. (Tu zwierzenie tylko dla Pani: jako sklerotyczny matuzalem miałem przed chwilą wątpliwość, czy nie śpiewała „Gdybym to ja miała...”, ale pomyślałem, że po co miałaby lecieć z Klubu Księgarza aż „do Śląska”! I uspokoiłem się, że jestem na dobrej drodze).

Andrzej Ferenc świetnie interpretował wiersz Marka. Potem czytano listy gratulacyjne, Rafał Skąpski wręczył Markowi medal Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. Jubilat

otrzymał też od marszałka Struzika medal Pro Mazovia.

Nastrój stał się jeszcze bardziej pogodny po minirecitalu Bohdana Łazuki, któremu akompaniował na fortepianie Czesław Majewski. Muszę też polecić Pani książkę o Marku Wawrzkiwiczu „Mogło być gorzej” zredagowaną przez Jana Cichockiego, Agnieszkę Tomczyszyn-Harasymowicz oraz Andrzeja Żora. To zbiór recenzji, felietonów, szkiców, anegdot poświęconych Jubilatowi. Są tam również zdjęcia z lat dawnych i współczesnych. Znako-mita, ciekawa rzecz.

A potem życzenia. W imieniu kieleckiego środowiska literackiego przemówił Staszek Nyczaj. Oryginalne od Aldony Borowicz. Przypomnę Pani, że Aldona miała zwyczaj pożyczania zapalniczek od Prezesa Marka, które niepostrzeżenie i bezpowrotnie ginęły w przepastnych czeluściach jej torebki. To przeszło już do legendy. A teraz składając Markowi życzenia dała mu w upominku... cały woreczek zapalniczek, „rekompensując” swą notoryczną dystrakcję. Oczywiście, wzbudziło to wesołość zebranych, zwłaszcza tych, którzy doskonale się orientowali w czym rzecz.

Marek potem zabrał głos, jako Najważniejsza Osoba Wieczoru. Mówił trochę lirycznie, trochę nostalgicznie, przyznał, że absolutnie nie odczuwa wieku metrykalnego. Trochę i o poezji, która – jego zdaniem – powinna być prosta, chwytająca za serce i zrozumiała dla każdego, jak wiersz, który zacytował: „Idzie wiosna, ptaszek kwili, może byśmy coś wypili”. I zaprosił zebranych do „sali obok”, które to wezwanie zostało entuzjastycznie przyjęte.

Tak zaczęła się towarzyska, mniej oficjalna część spotkania, choć tam, gdzie jest Marek Wawrzkiwicz trudno mówić o oficjalności, bo wszystko się odbywa z humorem wysokiej próby, na tak zwany luzie.

Z radością zobaczyłem, że obecny jest na jubileuszu Aarne Puu, Estończyk od lat mieszkający w Krakowie, świetny poeta, pracownik naukowy UJ. Powspominaliśmy trochę dawne czasy, nasza rozmowa skrząła się dowcipem, kalamburami, komentarzami do zaobserwowanych sytuacji. Aarne ma duże poczucie humoru, zbliżone do mojego. Spotkałem też Ewę Zelenay, Andrzeja Tchórzewskiego, Piotra Dumina, Annę i Zbyszkę Milewskich, Andrzeja Żora, Adama Marszałka, Józefa Tejchmę, Kazimierza Kocharńskiego, Krysiek Konecką, Leszka Żulińskiego, wspomnianego Staszka Nyczaja i wielu innych.

Bardzo przyjemna, powiedziałbym: oczyszczająca impreza. Pozwoliła mi znowu odechnąć tamtą, dawniejszą i zdrowszą atmosferą artystyczną. Poczuję się lepiej. A może już się starzeje? Chociaż, podobnie jak Marek, nie odczuwam wieku metrykalnego. Wszystko jest jak dawniej, przynajmniej ulegam takiej iluzji.

Trudno jej nie ulegać, skoro przyszła wiosna, „budzi się do życia całe przyrodzenie”, jak napisał (nie wiadomo czy z autopsji) pewien poeta. W każdym razie cała aura przypomina nam o Świętach Zmartwychwstania. Wobec tego życzę Pani wiele pogody oraz nadziei –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



O kulturze osobistej

Człowiek kulturalny to człowiek, który wie jak się zachować, by nie sprawić przykrości innym, choćby różnili się od niego niewiadomo jak. Żyjemy wśród ludzi, ale każdy z nas posiada własną kulturę osobistą, która pomaga nam w życiu. Dzięki niej ludzie postrzegają nas jako osoby mądre, potrafiące adekwatnie zachować się do sytuacji. Najważniejszym przejawem kultury osobistej jest szacunek do drugiego człowieka. Będąc osobami kulturalnymi nie pozwolimy sobie na poniżenie drugiej osoby, gdyż człowiek z faktu istnienia, że jest człowiekiem zasługuje na szacunek. Ważna jest również uprzejmość do ludzi. W życiu staramy się być uprzejmi i to pomaga nam zachować pozytywne kontakty z innymi i ich sympatie.

Andrzej Dębowski

Czy rzeczywiście kultura osobista człowieka pomaga mu w życiu, czy może jest niepotrzebna. Wiadomo, że kultura osobista to nasz „wewnętrzny głos”, który mówi nam jak zachować się w danej sytuacji. To także nasz wygląd i dbanie o zdrowie swoje i innych. Kultura człowieka pomaga mu w życiu codziennym. Dzięki niej inni widzą nas jako osoby mądre. Można powiedzieć, że nasze zachowanie jest własną „wizytówką”, bo przecież kultura osobista to nie tylko nienaganne maniere, ale również wysoki poziom edukacji ogólnej i logicz-

nego myślenia. A przemawia za tym wiele różnych argumentów.

Po pierwsze kultura osobista to inaczej nasza godność. To właśnie własnym zachowaniem reprezentujemy siebie. Jeżeli zwracamy się do kogoś w sposób kulturalny możemy oczekiwać również kulturalnej odpowiedzi. Forma naszego zachowania i wypowiedzi świadczy o naszym wykształceniu. Odpowiednie, kulturalne zachowanie oznacza, że „coś sobą reprezentujemy”. Nie zapominajmy o starym przysłowiu: „Jakim Cię widzą, takim Cię piszą”. Jesteśmy szanowani przez innych i łatwiej nam przychodzi wiele rzeczy, ponieważ inni liczą się z naszym zdaniem i uważają nas za osoby na tzw. wysokim stanowisku i poziomie.

Nasze normy zachowania unaoczniają warunki, w jakich dorastaliśmy. Przedstawiają w pewnym stopniu naszą rodzinę, dom oraz atmosferę, jaka w nim panuje. Jeżeli zauważymy źle wychowane dziecko, to myślimy właśnie o rodzicach, którzy je wychowali. Nikt z nas przecież nie chce, aby ktoś obcy źle wyrażał się o naszych rodzicach. Nie powinniśmy więc kłaść dobrego imienia naszego i przede wszystkim naszej rodziny. Nie zapominajmy więc o tym, że czasami zdarza się, iż kultura osobista jest jedyną rzeczą jaką mamy. Nikt nie może nas jej pozbawić. Nasza godność jest faktem istnienia naszej osoby. Nawet jeśli wszystko utracimy, ona zawsze pozostaje.



Rys. Zbigniew „Bruno” Szulc

Dlaczego więc tak wiele młodych osób w dzisiejszych czasach zapomniało, czym jest kultura osobista? Odpowiedź na pytanie zdaje się być dość prosta: bo młodzi ludzie czerpią wiedzę o niej z najgorszych wzorców, z jakimi się spotykają. A zaczyna się wszystko od domu rodzinnego, gdzie najbliżsi mają największy wpływ na przyszłe zachowania swoich pociech. Następnie szkoła i tutaj

też nie zawsze jest tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Największy i najbardziej negatywny wpływ na zachowania społeczne mają: telewizja i osoby publiczne, w tym politycy. To właśnie od nich płynnie największe „złego promieniowania”. Ich ciągłe kłótnie, chamskie zachowania, odzywki, niczym meneli spod budki z piwem, dają asumpt do tego, abyśmy i my korzystali z tych niewyszukanych form dyskusji społecznej. Kiedy ostatnio śledzi się poziom dyskursu politycznego w naszym kraju, to ogarnia przerażenie. Prezydent, premier, ministrowie, posłowie prześcigają się we wzajemnym opluwaniu.

Zgorszenie zalewa cały kraj. Wzajemne oczerniania i oskarżania stały się głównymi punktami wszelkich programów informacyjnych. Najgorsze jest to, że głównym aktorem tych żenujących widowisk staje się głowa państwa. Zastanawiałem się wielokrotnie, jak daleko powinien posunąć się prezydent w swoim zachowaniu. Jak powinni postępować: premier, ministrowie, posłowie bez mała czterdziestomilionowego kraju, w głoszeniu tak chamskich i kłamliwych opinii? Otóż dla „dobra kraju” pewnie nieskończenie, ale przecież są inne metody, porządkujące zachowania wielu Polaków, nie tylko tych z pierwszych stron gazet. Jednak żeby móc to robić, najpierw samemu trzeba osiągnąć pewien poziom kultury osobistej, a ta – najwyraźniej – nie jest mocną stroną „naszych wybrańców narodu”. Nie dziwnym się więc później, że z tą kulturą osobistą w narodzie nie jest dobrze.

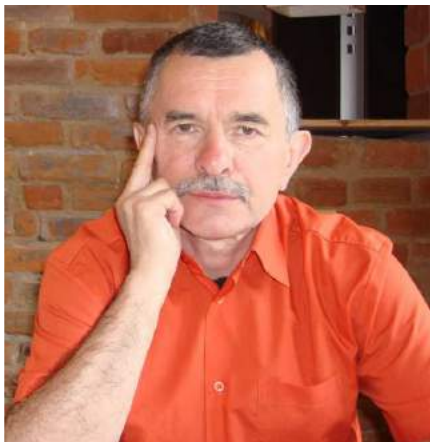
Gdybyśmy dokładnie i szczerze przeanalizowali własne zachowania, to musielibyśmy z zawstyżeniem schylić głowy. Niestety, to my, dorośli, odwodzimy młodych ludzi od grzeczności. Najprościej jest narzekać na współczesną młodzież, a tak trudno włączyć się czynnie w nauczanie dzieci prostych form kulturowych i okazywania wzajemnego szacunku. Dzieci nie rodzą się z zakodowanym wulgarnym słownictwem, chamskim zachowaniem czy kłótniwością. Od kogoś muszą się tego nauczyć i gdzieś to podpatrzeć. Przynajmniej w szkole i we własnym domu starajmy się postępować tak, jakbyśmy chcieli, żeby młodzież postępowała z nami. Pamiętajmy, że „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Cytat ten dedykuję tym, którzy na lewo i na prawo szafują wszelkimi górnolotnymi sformułowaniami, których często sami nie rozumieją.

Wychowanie to długotrwały i skomplikowany proces, na którego przebieg wpływa szereg czynników wzajemnie warunkujących się, działających w różnych powiązaniach i współzależnościach. Niestety, trzeba jeszcze o tym wiedzieć...

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (13)

(fragmenty)



Bal żebraczy u literatów

Tańczyłem na balu żebraczym w lokalu krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich...

Kilka dni wcześniej we Wrocławiu przyjaciel-pisarz Staszek Srokowski opowiadał mi o pewnym pisarzu średniego pokolenia, który też żebrze, oraz o dwu innych poetach ze starszego pokolenia, widzianych czasem przez blokowe okno, jak grzebią w kubłach ze śmieciami (nazwisk z wiadomych względów nie podam). Łączy mi się to jakoś z listem Gabrieli Matuszek, prezeski krakowskiego oddziału SPP, odczytanym w trakcie balu żebraczego:

„Literatura wysoka skazana jest dziś na powolne umieranie, a pisarze na głodowanie (...) w czasach, gdy dominuje pieniądź i komercja, staramy się pracować dla dobra publicznego, często bez honorariów, poświęcając własny czas, bo wierzymy, że lampka oliwna nie powinna zgasnąć. Ale czy mamy przenieść się z nią pod mosty, gdy właściciele wynajmowanego przez nas od lat lokalu podnoszą dramatycznie kosztą wynajmu, władze miasta nie są zainteresowane pomocą finansową i historyczne lokum pisarzy może ulec likwidacji?”.

Na blogu krakowianina Krzysztofa Pa-sierbiewicza przeczytałem:

„Wczoraj, w ostatnią sobotę karnawału, o tej samej porze, odbyły się w Krakowie trzy prestiżowe bale.

Pierwszy, charytatywny, ściągnął do »Hotelu Pod Różą« śmietankę lokalnego biznesu. W wykwintnej oprawie, przy królewsko zastawionych stołach bawiło się towarzystwo odstrzelone podług najnow-

szej mody z Paryża, Londynu i Nowego Jorku. A w dobroczynnej aukcji bombastyczni kreuzsi świata polskiej finansjery licytowali wystawione fanty, by nieco uśmierzyc wyrzuty sumienia. I dobrze, można by powiedzieć. Przecież o to walczyliśmy, żeby żyć jak ludzie.

Drugi, okolicznościowy, czy może lepiej kuglarski, równie »bogaty«, odbył się w snobistycznej kawiarni »Łoża«, nie wiedzieć czemu zwanej »Klubem Aktora«, i zogniskował ponoć śmietankę zaściankowego Krakówka. Było tak »elegancko«, iż mimo ciepłej aury szatnia nie wytrzymała naporu najdroższych z drogich futer, a uszy aż puchły od przechwałek uczestników szpanerskiego rautu, ile też gwiazdek miał hotel na dalekich wyspach, skąd właśnie wrócili. Też dobrze. Każde europejskie miasto ma taką śmieszna »elitkę«.

Odbył się również bal trzeci, skromny, składkowy, nie bez przyczyny nazwany balem żebraczym. Naprawdę nie żartuję. Taka była oficjalna nazwa tego balu. Te łzawe bachanalia miały miejsce przy ulicy Kanoniczej 7, w siedzibie krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, które jeszcze dycha dzięki łaskawemu patronatowi Wisławy Szymborskiej. Pałacą przyczyną desperackiej fety był przyziemny powód, iż zabrakło pieniędzy na czynsz i centralne ogrzewanie.

Tu stoły były skromne, nie było szumnych aukcji, lecz za to były największe z największych nazwiska, wysmakowana poezja i elektryzująca proza. Ale cóż to kogo teraz obchodzi? Obecnie liczą się tylko efekciarski blichtr i szybko zgarnięta kasa”.

Czy sytuacja ludzi pióra uprawiających literaturę niekomercyjną i nierozrywkową jest tak alarmująca, czy też głosy powyższe wynikają raczej z krakowskiej poetyki Zielonego Balonika i Piwnicy Pod Baranami? Rzeczywiście, pisarze z drugiego po warszawskim największego w Polsce oddziału SPP nie otrzymują znikąd dotacji na opłacenie coraz bardziej droższego lokalu i jedynie Wisława Szymborska wspomaga Stowarzyszenie od lat z własnej kieszeni. Zresztą na lokal, telefon i sekretariat dotacji już od dawna nie ma, odkąd skończył się socjalizm i państwo poczuło się zwolnione z troski o kulturę. Żeby mieć pieniądze na czynsz, trzeba kombinować albo żebrać, bo same składki nie wystarczą. Ministerstwo dotuje projekty, ale ostatnie złożone do Ministerstwa Kultury przez krakowian nie zyskały akceptacji ze względu „na niską użyteczność społeczną”. Ta tak zwana „niska użyteczność społeczna” zawodu pisarskiego spycha literatów w oczach bezdusznych urzędników coraz mocniej na margines.

W sytuacji, gdy rynek księgarski zalewają książki zagraniczne, a liczba odbiorców zastrasza małeje (mimo lawinowego postępu techniki nie znaleziono dotąd sposobu, by dodrukowywać nie tylko

nowe tytuły, ale i nowych czytelników) – los polskiego autora niskonakładowej, ambitnej książki wydaje się opłakany.

Czy gdzie indziej jest lepiej?

Z tego co wiem, na przykład w Hiszpanii około tysiąca bibliotek zobligowanych jest do wykupienia pierwszych książek młodych pisarzy, więc duże wydawnictwa ryzykują niewiele przy kwalifikowaniu debiutów do druku. We Francji ministerstwo pomaga w ich zakupie, a potem w dystrybucji. W krajach skandynawskich pisarze otrzymują tantiemy od każdego wypożyczonego z biblioteki egzemplarza ich autorstwa, ba, tantiemy te wpływają na konto autorów nawet w wypadku kserowania stronic (wierszy). W Niemczech ludzie pióra korzystają z dużych możliwości, jakie daje bogato rozwinięty system stypendialny, wysokie honoraria, konkursy ogłaszane przez władze miast na tak zwanych „Stadtschreiber”, czyli pisarzy, którzy otrzymują stypendia, mieszkanie (często w hotelach zamkowych) i utrzymanie w zamian za to, że w przyszłości akcję swych utworów umiejscowią w okolicach landu czy miasta, które ich sponsoruje.

Posiłkując się innym przykładem – z branży muzycznej... W Portugalii, krainie fado, w trosce o ochronę piosenki portugalskiej i stworzenie zapory dla amerykańskich wytworów popkulturowych, wydano przepisy, na mocy których tylko jedna czwarta piosenek „latających” w radio może być obcojęzyczna, pozostałe muszą być rodzime. Czy nie można by z tych przywołanych na chybił trafił wzorców skorzystać, mając na uwadze los polskiej literatury?...

Najtrudniej mają poeci.

Przypominam sobie, że gdy w roku 1984 wydawałem po raz pierwszy „Wiersze wybrane” ukazały się w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy i zostały rozprzedane w ciągu roku. Dziś po ćwierćwieczu maratonu pisarskiego moje nowe zbiory wydawane – w posiadającym skądinąd znakomitą dystrybucję wydawnictwie Zysk i Ska – osiągają nakłady 2-3 tysięcy i rozchodzą się w żółwym tempie. Nietrudno zgadnąć, że jestem zdany na życzliwość właściciela tej oficyny.

Cóż mówić o setkach mniej znanych czy nieznanach autorów?! Przede wszystkim nie wydaje się ich w prestiżowych wydawnictwach, lecz w niszowych oficynach bądź w drukarniach, tak że najczęściej wydrukowane zbiorki w ogóle nie trafiają do księgarń. Autor tomiku płaci za wydanie (3-4 tysiące złotych za 500 egzemplarzy), a następnie rozsyła znajomym.

cdn.



Poetycki portret Krakowa

Są miejsca i miasteczka, ale i miasta, które głęboko wchodzą w krwioobieg emocjonalny artystów, bez których ich twórczość nie nosłaby ze sobą wymiaru duchowego. Ślady takiej postawy artystycznej można znaleźć również w tomiku krakowskiej poetki – **Ireny Kaczmarczyk** w zbiorze pt. „Kanoniczka 14”. Warto przypomnieć, że jest to jedna z najstarszych ulic, prowadząca prosto na Wawel, kiedyś bardzo zaniedbana, dzisiaj stoją odnowione kamienie, nawet od wewnątrz, gdzie kwitnie życie towarzyskie „noblanych krakusów”.

Irena Kaczmarczyk stworzyła wiele dla niej znaczący tomik poświęcony Kulturalnej Stolicy Europy – królewskiemu miastu – Krakowowi. Dodatkową jego inspiracją uświetniającą zawartość tego zbioru poezji było malarstwo Renaty Kulig-Radziszewskiej poświęcone temu miastu, ukazujące jego klimaty architektoniczne oraz miejsca, w których od wieków ukazuje się również jego duch, np. wnętrza kościołów, kawiarni, zaułków znanych krakowskich ulic – np. Floriańskiej, Siennej, Franciszkańskiej, św. Jana, Gołębiej, Plant, Rynku Głównego, Wawelu, Jamy Michalika, czy ul. Kanoniczej, od której książka ta wzięła swój tytuł. W wierszu pt. „Lubię Kraków” autorka pisze: *Lubię z tobą zapalać latarnie / Kiedy Kraków gołębie usypia / Zmierzch ma zapach zielonej herbaty / gdy mnie szepciem jesiennym dotyka // Kanoniczka ponętnie się wiję / Wawel oczy z zachwyty przymruża / Twoje ramię całuje się z moim / Gdy jesienią się do mnie przytulasz // Gwiazdy jadą doróżką do Rynku / Skry się sypią spod kopyt nocy / Przytuleni jak księżyc do nieba / Załgdamy latarniom w oczy // (...) Lubię z Tobą zapalać Latarnie / Kiedy Kraków gołębie usypia / (...)*.

Nie trudno zauważyć, że poetka wrosła korzeniami duszy i ciała w to miasto i traktuje go chyba bardziej pieszczotliwie jak męża, czy kochanka. Czuje jego dotyk, wacha, a czasami ukazują się jej jego kontury na granicy jawy i snu. Wszystko to powoduje, że jej każda chwila egzystencji posiada wartość estetyczną, konstytuowaną w oparciu o doświadczane wartości artystyczne, których depozytariuszem jest właśnie stolica Małopolski. Z nią autorka wydaje się być tak głęboko zżyta, że tu upatruje swoją wieczność po skończeniu osobistego padołu istnienia, w tym jej teatrze codzienności, a w wierszu bez tytułu podkreśla, że: *na gzymsach Krakowa / wysp gołębi // skrzydłem trzepocze powietrze / miasto otwiera sezon*.

Autorka lubi wracać tu do swojego estetycznego matecznika, obserwować powieści „skrzydeł” kolejnych pór roku, by za-

glądać do kawiarni, historycznych budowli, stawać pod pomnikami wybitnych ludzi, ale i zwierzać tego miasta, błędzić bez widocznego celu po Plantach, bo wie podświadomie, że i tak wszystkie drogi prowadzą tu do Rynku, na którym dniami i nocą „kwitnie życie” bukietaми różnej maści kwiatów, kwiatków; tych wspaniale pachnących, ale i tych, co nie koniecznie dodają splendoru miastu, choć stały się już ważnym punktem jego krajobrazu. Jesienią w krakowskim parku, w wierszu pod tym samym tytułem poetka widzi i słyszy jak: *pustoszeją na ławkach rozmowy // garbią się myśli // pochylają słowa // jesień zamyka park*.

W tryptyku pt. „Spowiedzi u franciszkanów”, w ciszy w kolorach witraży Stanisława Wyspiańskiego konstatuje: *(...) // wychodzę z ciszy / w mroku witraży // na rękach światła / bratków niosę*.

Kaczmarczyk eksycjuje okres wigilijno-święteczny w kolorystyce zimy i nocy, i medytuje na Skałce, by siedząc na wieczorze autorskim w Klubie Pod Gruszką, gdzie Anna Dymna czyta wiersze Józefa Barana z cyklu sześciu kontynentów odkryć, że jednak jest mieszkanką „Siódmego Kontynentu”, któremu na imię – Kraków.

Ten duchowy oddech „powietrzem dziejów” – to niewątpliwie bezcenna wartość tej prostej, skromnej poezji, w której autorka wpisuje więzi z własną rodziną, mężem, ale i bliskimi przyjaciółmi po piórze, jak również z innymi artystami, których nietrudno spotkać w centrum tego miasta, czy bezpośrednio obserwować ich dokonania artystyczne. Nieprzypadkowo, w kontekście odbytych podróży po świecie, o którym sprawozdawała w poprzednich tomikach – w Krakowie zawsze czuje się jak we własnym domu, by ostatecznie odkryć, że to jest ten „Siódmy Kontynent”, bez którego nie da się jej żyć, a który zawsze w duszy nastraja ją emocjonalnie pozytywnie i któremu winna jest szacunek, ale i głęboki literacki ukłon!

prof. Ignacy S. Fiut

Irena Kaczmarczyk, „Kanoniczka 14”, Postscriptum: Ewa Preisner. Obrazy: Renata Kulig-Radziszewska. Fotografie: Andrzej Makuch, Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich (Biblioteka Krakowskiego Oddziału ZLP), Kraków 2016, s. 96.

Liryczne poszukiwania

Dzięki Miejskiej Bibliotece Publicznej w Piotrkowie Trybunalskim ukazał się kolejny tomik poezji **Barbary Gajewskiej** pt.

Porwał mnie księżyc. Autorka z wykształcenia jest nauczycielką. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat pracy zawodowej uczyła języka polskiego w piotrkowskich szkołach. W Piotrkowie prowadziła też przez kilka lat klub literacki „Zakole” i działała w grupach literackich „Pomosty” i „Abaton”.

Jest laureatką wielu konkursów literackich. Kilkrotnie była nagradzana w organizowanym w Piotrkowie konkursie „O Rubinową Hortensję”. Gdy w jego XXXI edycji zdobyła pierwszą nagrodę, zasiadający wtedy w jury Leszek Żuliński mówił: *Jej poezja naprawdę pozostaje w pamięci. Jest to poezja mająca własną stylistykę, swój świat symboli i wyobrażeń, poezja z metafizyczną szczyptą tajemnicy i z odrobiną artystycznego szaleństwa. Cały ten amalgamat sprawia, że ten zestaw wierszy był, być może, zestawem wybitnym*.

Z pewnością to samo można powiedzieć o całym dorobku twórczym Barbary Gajewskiej. W tym również o prezentowanej tu książce. Zamieszczone w niej wiersze poruszają bez reszty. Autorka dogłębnie penetruje stan rzeczy, bada zależności zjawisk, odkrywa złożone relacje między ludźmi, ujawnia intymne odczucia. Ujmuje szczerością lirycznej wypowiedzi.

Jej poezja nadal jest, jak sama kiedyś określiła, poszukiwaniem – „sensu, drogi, celu, wartości. Ale nie jest odpowiedzią.” To co ją nurtuje, to wpływ czasu, wartość ciszy i wymieniona już tutaj droga. „[...] droga – wyjaśniała – jako znane, szerokie określenie naszej egzystencji. Ale to także droga od człowieka do człowieka. Może być bardzo długa i może być krótsza. Droga może wieść też do siebie samego.” („Tydzień Trybunalski”, nr 6, 2007)

Te swoje poszukiwania prezentuje w starannych kompozycjach wersów i strof. Przyciąga w nich prostota, przejrzystość, a jednocześnie wiersze te wymagają od czytelnika emocjonalnego i intelektualnego zaangażowania.

Tomik *Porwał mnie księżyc* jest ósmą książką Barbary Gajewskiej. Znajdujemy w nim zróżnicowane treści. Oto cykl wierszy zatytułowany „Szlakiem suwalskiego wiatru”, będący zapisem wrażeń poetki z pobytu na Suwalszczyźnie. W większości wierszy tego zbioru dominują motywy przyrody. Widzimy, jak autorka znakomicie z nich korzysta, by spotęgować efekt twórczy. Zastanawiamy się, czym można wytłumaczyć, że tak chętnie po nie sięga.

Wyjaśnieniem jest miejsce, skąd pochodzi. Sama o nim tak kiedyś opowiadała: *Moje korzenie tkwią w uroczej, małej wiosce Stawowiczki, która położona jest między Paradyżem a Opoczmem. [...]*

Moje dzieciństwo było szczęśliwe m.in. dlatego, że żyłam w symbiozie z naturą. Jawi się to dla mnie teraz jako rodzaj «raju utraczonego». Tak jak napisałam na okładce

(Dokończenie na stronie 18)

Liryczne poszukiwania

(Dokończenie ze strony 17)

pierwszego mojego tomiku, «wyrosłam w ciszy wsi rodzinnej, gdzie wieczorami rechot żab, cykanie świerszczy polnych i szczekanie psów tworzyły melodie mojego dzieciństwa. I były to najpiękniejsze melodie». Jako dziecko bardzo mocno odczuwałam puls zmieniającej się ciągle przyrody. Każde przedwiośnie z trawą przebijającą się przez śnieg robiło na mnie wielkie wrażenie. Dalekie echa nadchodzącej jesieni słyszałam już w sierpniu. [...]» („TT” nr 6, 2007)

Nie może więc już nas dziwić, że tak często i umiejętnie z tego doświadczenia korzysta. Wrodzona wrażliwość owocuje wierszami, w których elementy krajobrazów, w tym przypadku Suwalszczyzny, stają się dla autorki inspirującym tłem do wielokierunkowych refleksji, do przybliżenia czytelnikowi ulotności chwili, błysku za-dziwienia.

Odnotujmy kolejny cykl zawarty w tomiku, a zatytułowany „Rozmowy z Panem Cogito”. W nim to autorka podejmuje z Herbertem czy z Panem Cogito intelektualny dyskurs, wykorzystując nie tylko zasób uniwersyteckiej wiedzy, ale też życiową mądrość. Zagłębia się w filozoficzną materię, analizuje, zadaje pytania, konfrontuje się z tym Herbertowskim inteligentem i podobnie jak on stoi w obronie człowieczych praw i międzyludzkich relacji.

W ostatnim wierszu z cyklu autorka doprowadza do spotkania Pana Cogito z „taką jedną”. I tym sposobem Herbertowski bohater konstatuje, że „rzeczy wielkie są w rzeczach małych”, i „w drzeniu kolan odnajduje przyczynę pierwszą i ostateczną”.

Kto zacz „taka jedna”? To bohaterka następnego cyklu wierszy w tomiku. Poetka powiadamia nas, że wyłoniła się z czekania. Cokolwiek by się pod tym kryło, to jej pojawienie się pozwala autorce przenieść na jej barki dylematy współczesnej kobiety – doświadczonej i pełnej życiowych oczekiwań.

Najobszerniejszą część tomiku stanowią wiersze zawarte w ostatnim, tytułowym, rozdziale. Tworzą one wielostronny, przepełniony emocjami i erotyzmem obraz kobiecej psyche. Utwory mają charakter intymnych wyznań autorki. Stają się zapisem doświadczeń, pragnień, zwątpień i nadziei. Czytelniczki odnajdą w nich to, co jest ich własnym doświadczeniem, a czytelnicy będą mieli okazję skonfrontować swoją wiedzę i wyobrażenia o duszy kobiety z prawdą autorki.

Prezentowana książka Barbary Gajewskiej z pewnością nie będzie ostatnią w jej dorobku. Podczas promocji, jaka odbyła się w piotrkowskiej Miejskiej Bibliotece Pu-

blicznej, wyjawiała, że cykl wierszy inspirowany powołaną do lirycznego bytu „taką jedną” będzie kontynuować.

Zdzisław J. Dziubecki

Barbara Gajewska, *Porwał mnie księżyc*. Miejska Biblioteka Publiczna w Piotrkowie Trybunalskim, Piotrków Trybunalski 2016, s. 84.

Z Erato przez życie

Z muzą poezji pod ramię, ale i zaangażowaniem w życie społeczno-kulturalne Poznania – to chyba dwie wielkie słabości **Heleny Gordziej** świadczące zarazem o jej niespotykanej sile duchowej. Jest autorką chyba już ponad 50. książek, głównie poetyckich, matką odchowanych synów i babcią wnuków, osobą kilkakrotnie odznaczona za pracę twórczą, zarówno w środowisku wielkopolskim, ale i ogólnokrajowym (np. w roku 2008 została odznaczona przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem GLORIA ARTIS). Pod koniec roku 2016 ukazał się jej kolejny tomik wierszy pod znamennym tytułem – „Żegnaj Erato”, który postaramy się zaprezentować.

Poetka już we wcześniejszych tomikach sygnalizowała zmęczenie życiem, starczymi dolegliwościami, ale i aktualną kondycją świata, który stawał się jej coraz bardziej obcy. Głównie inspirował ją podziw dla przyrody, rustykalne klimaty, fenomen życia, ale zupełnie nie odpowiadał jej rozbuchany konsumpcjonizm, który w ostatnim ćwierćwieczu zawiądnął sercami rodaków.

W wierszu otwierającym zbiorek pt. „Przez soczewki żalu” poetka dzieli się z zażenowaniem swoją starczą kondycją egzystencjalną, pewną bezradnością, a nawet poczuciem wstydu, co dobrze oddają następujące jego wersy: (...) *Modlić się o śmierć nie wypada / przecież подарowano nam życie / do wypicia po ostatnią kroplę / a mnie coraz częściej uciezka w głowie / samounicestwienie / Na to jednak potrzeba odwagi / Przywiązanie do ziemi / magnetyzuje niczym międzygwiazdą / przestrzeń gdzie ciałom niebieskim / uwięzionym w kieratach orbit / nie wolno zboczyć / z wybranych torów.*

Słychać tu trochę lamentu, ale autorka nie nadużywa żadnych naiwnych i religijnych argumentów na temat swoje losu. Raczej – jakby to ujął Immanuel Kant w swym imperatywie kategorycznym – wpi-

suje swój byt w prawa kosmicznego uniwersum, które ją zrodziły i pewnie przyjmą na wieczność. Czyni również pewien rozrachunek sumienia z własnym życiem, w wyniku którego ogromnie docenia każdą jego chwilę, szczególnie czasy młodości i miłości. One pozwalały jej galopować ponad wszystkie przeszkody. Jednak współcześni ludzie niedoceniają tego okresu życia, konstatuje, ale ich wysiłek, ocierający się niekiedy o nudę, pozbawia ich umiejętności bycia wrażliwymi i kultuwowania piękna naszego świata. Ogromnie przeżywa radość, kiedy ma możliwość spotkania ze zwierzętami, w których nie tylko postrzega instynkt przetrwania pomagający znosić niedogodności losu, ale również i instynkt przyjaźni łagodzący ból istnienia. Momentami wątpi w wieczność osobistego istnienia, bo odkrywa w ludziach, ale i w sobie pewną formę zwierzęcości, pogłębiającą padół istnienia człowieka, a może i wykluczającą jego jednostkową wieczność. To, co ją osobiście przeraża to współczesne doświadczenie przez ludzi czasu, bez doświadczenia którego trudno wyobrazić sobie wieczność. W wierszu pt. „Czas” autorka pisze: (...) *Nawet ludzkość uzależnił / od tempa biegu / Śpiesz się więc po korzyści / materialne – cwałem / wciąż im mało bogactwa / Zapominają o potrzebach psychicznych / Czas ucieka poza granice / naszej wyobraźni / a my – błażni czy klauni / hołdujemy żarłocznej epoce / wszystkobrania / Byle więcej bogactwa wydzierać / chytrym współmieszkańcom globu.*

Nawet w tym biegu uczestniczy religia, która ciągle biegnie za „prawdziwym, żywym Bogiem”, a który w swej prostocie staje się niemożliwy do uchwycenia.

Szczególną uwagę przywiązuje Gordziej do roli żywiołów w budowie osobistego świata poetyckiego. Rozumie podmuchy wiatru, trwogę drżących liści na wietrze, ale i odgłosy toporów drwali. Świetnie rozumiał to jej syn, który na urodziny przyniósł jej bukiet polnych kwiatów, dzisiaj tak trudnych do zebrania, które rozradowały ją do szczyrych łez ze szczęścia. Również wzbudza jej wyobraźnię sztuka plastyczna – np. Jana Matejki doświadczenia związane z malowaniem obrazów, którym towarzyszyło wiele nieporozumień matrymonialnych. Często spogląda w niebo, gdzie między śpiewem ptaków chce zobaczyć oblicza rówieśników i przyjaciół obcujących już z wiecznością. Często popada w sprzeczności związane z dialektyką wiary i niewiary, bo nie wierzy politykom, kaznodziejom, lekarzom, ale w rozmowie z dobrym człowiekiem dostrzega okrucy wiary, które upewniają ją o jakiejś sensownej treści słowa – wieczności. W dobrych stosunkach pozostaje z samotnością, ale widzi, że kiedyś wzbudzała u ludzi litość, dzisiaj zaś widomo zysku. Jedynie piękno świata naturalnego trzyma ją przy życiu i zdrowych zmysłach: kształty, kolory, wsłuchi-

wanie się w ciszę i szum wody, chmury na niebie – tworzą tę niepowtarzalną urodę świata, pozwalającą doczekać kolejnego jutra, ale i przewycięzać „język bólu” w rozmowie z innymi ludźmi. Świat poetki najczęściej ma „okienny charakter”, bo najczęściej tak go obserwuje i wierzy wiatrowi, który przynosi jego wspomnienia pod okno. Nierzadko ulega „chorobie starców na Boga”, którzy *modlitwami podpierają / wejście do podziemia / obelkowane grzechami*. Ma pełną świadomość, że starość okalecza osobowość każdego człowieka i musi się on z tym pogodzić.

Tomik zamyka wiersz, od którego tomik wziął tytuł. Poetka właściwie zrozumiała, że nadszedł już czas na zamilczenie i chce podziękować muzie za tyle lat radości i wzniosłej duchowo wędrówki przez życie. W tym utworze czytamy więc: (...) *Żegnam Cię Erato / Czas zbyt wiele dostarczył mi / zmarszczek / Wyżłobił nową twarz / (...) Dzisiaj w nocy w czasie snu / usłyszałam Twoje jedno słowo / Zbudzona wstałam z łóżka / żeby rano wierszem na kartce rozpiścić jego treść / kontynuować sens słów / poszerzać penetrację wersów / Ale Ty umilkłaś / Otworzyłaś drzwi mojego Ego / i zostawiłaś ciszę*.

Trudno tu o jakiś sensowny komentarz, bo poetka wie najlepiej co czyni. Można jedynie żywić nadzieje, że Erato jeszcze da szansę autorce na kilka niezobowiązujących wierszy, choć i milczenie jest w pewnym stopniu również poezjowaniem, bo ma także znaczenie.

prof. Ignacy S. Fiut

Helena Gordziej, „Żegnam Erato”. Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Seria Wydawnicza LIBRA, Nr 91, Poznań 2016, s. 44.



Przyciśnięty do muru nienormalności

Poezja to mowa, która bierze ze wszystkich języków świata, ale sama nie jest żadnym językiem: jest, w każdym swoim wcieleniu, jednorazową wypowiedzią, która powstaje, kiedy w umyśle poety lub w świecie dzieje się coś poza wszelkim porządkiem; poeta to ten, który podczepia się pod mowę. Poezja jest wypowiedzią konieczną, a poeta

– człowiekiem zmuszonym do mówienia. Przyciśnięty do muru, by sypał – mówi o poezji Jarosław Mikołajewski.

Takim poetą – przyciśnięty do muru nienormalności – jest **Jerzy Utkin**. Jego bezkompromisowa poezja, wymykająca się ramom „tradycyjnie pojętej poezji” próbuje zwrócić uwagę czytelnika na te fragmenty naszego życia społecznego, których nie znajdziemy na okładkach kolorowych pism. Próżno szukać tutaj grzecznych i spokojnych fraz. Jego słowa są mocne, chropowate i stanowią komentarz do ciemniejszej strony rzeczywistości. Można by powiedzieć, że jest to propozycja dla fanów ambitnych tekstów, pozbawionych patosu.

Światopogląd wpisany w poezję Jerzego Utkina może czasami prowokować, jako niedostatecznie konsekwentny, zbijać czytającego z tropu pozornymi czy faktycznymi sprzecznościami. Bo filozofia jego języka poetyckiego wydaje się przeciw filozofią totalną, bezkompromisową i spójną. Poezja Utkina nie jest jedynie artystycznym mówieniem, służy poznawaniu – obserwacji i analizie – rzeczywistości, jest sposobem oraz wymiarem bycia w świecie i bycia wobec świata. Poetycki język Utkina świadczy o nieufności, z jaką jego użytkownik odnosi się do skostniałych konstrukcji myślowych, nieświadomie adaptowanych i biernie rozpowszechnianych struktur werbalnych. Rzeczywistość widziana przez Jerzego Utkina bynajmniej nie staje się światem opisywanym; to raczej świat nazywany przez mówiącego okazuje się rzeczywistością przez poetę dostrzeżoną. Pisanie – mowa poetycka – to doświadczenie egzystencjalne.

Utkin w swojej nowej książce pt. *Psalm skopanego psa* nie występuje jako moralista. W oczywistym rozróżnieniu piękna i prawdy bardzo łatwo rozpoznać w tej liryce rezygnację z moralistyki. By zostać moralistą należy być depozytariuszem tego, co prawdziwe, bo poecie wystarczy to, żeby starać się rozumieć swoją rzeczywistość i własną w niej obecność.

Ta poezja i ten poeta są stworzeni do dźwigania ciężaru prawdy. Poezja i język poetycki Utkina mają swoją gramatykę oraz – co ważniejsze – fizjologię. Istnieją i funkcjonują jak ciało: reagują na ból, stają się dolegliwe wtedy, gdy milczymy; nawet wpisane w poezję egzystencjalne poczucie braku zawdzięczamy fizyczności.

Poezja Jerzego Utkina to liryka niezwykle dojrzała, inteligentna oraz bardzo przemyślana, nie znajdziemy tu niczego przypadkowego. Jest to poezja bezpośrednia i bezkompromisowa. Warta poznania. Okrutna, do bólu poważna... Taką, jakiej nam dzisiaj potrzeba...

Andrzej Dębowski

Apteka zaufania

(Dokończenie ze strony 11)

wuje się, jakby był najmądrzejszy na świecie. Teraz już nie boję się towarzystwa. Żadnego! Umiem się znaleźć! Chyba umiem... Przecież nikt mnie nigdzie nie zaprasza. Jestem skazana na siebie. A dlaczego mam narzekać? Jest mi dobrze! Nie mam obowiązków... zaraz!... Jeszcze raz!... O Boże! Boże! Co ten spiker mówi? Muszę zgłosić telewizor! Jeden – mam, siedem – mam, trzynaście też mam! Oj! Oj! Dwadzie... przecież dwadzieścia pięć zawsze zakreślałam! Już od 30 lat! Jeszcze tylko jedna cyfra... o mój Boże! Ta też jest! Słabo mi! Jakos tak, dziwnie kręci mi się w głowie. O Boże. Boż...

Co się stało? Dlaczego jestem na podłodze? Jak długo leżałam? Przypominam sobie! Już wiem, co się stało – wygrałam w loterii! To przecież cudowne! Co zrobię z takim pieniędzem? Zmienię wszystko w domu! Nie! Zmienię dom! Kupię sobie wszystko nowe! Nareszcie zacznę żyć! Kobieto! Czy ty słyszysz samą siebie? Opanuj się! Zejdź na ziemię! Jak zaczniesz żyć? Kiedy? Teraz? Już za późno na początki. Co ty możesz zaczynać? Przecież to, co jest mi najbardziej potrzebne jest nie do kupienia!

Co, może mam sobie znaleźć faceta? Pewnie, że znajdzie! Ale czy ja chcę faceta, który będzie ze mną dla pieniędzy? Który za pieniądze będzie udawał miłość? Faceta, którego nie będę kochała? Po co mi to? Jestem wolna. Teraz to wiem. Nie kupi się miłości! Można ją wyczytać między kartkami książek. Mam ich bardzo dużo! A ile teraz będę mogła kupić! Jeszcze wczoraj byłam biedna, a dzisiaj nie jestem już tym kim byłam! Jestem milionerką! Szkoda tylko, że starą. W mojej głowie rodzą się różne ogrody, świat pełen miłości! Ale nigdy w mojej głowie nie urodziła się myśl, że mogę mieć pieniądze! Takie pieniądze! Mam, to znaczy jutro będę miała, bo dopiero pójdę do kolektury!

Co teraz mam? Ogromne pieniądze, ale mam też świadomość, że miłość trzeba poczuć. Wiem też, że nie chcę żadnego faceta! Chociaż potrzebuję miłości i ciepła to wiem, że nikomu nie zaufam. Co mam zrobić z takimi pieniędzmi? Do końca życia nic już nie wezmę na zeszyt! Oddam w apteczkę wszystkie długi. Nikomu nie powiem, że jestem bogata! Pojadę nad morze, posłucham jak fale śpiewają, będę zbierać bursztyny...i czytać poezję. Moja ukochana biblioteka jest bogata w książki. Jestem pewna, że poezja jest dobra w biedzie i w bogactwie!

Co dalej? Może jednak połowę dam dzieciakom. Bogacze, wiem, ale w końcu moje dzieci...

Eliza Segiet

Błyski



W świecie amfetaminowych księżniczek

O debiucie Patrycji Kopackiej

„Amfetaminowe księżniczki zwiedzają klubowe kible jak nowopoznane kraje”

– to refleksja zapisana piórem dwudziestoletniej gorzowskiej poetki **Patrycji Kopackiej** w jej debiutanckim tomie noszącym tytuł *„Nie wiem”*. W zbiorze tym dziewczyna radykalnie nazywa trudne stany towarzyszące wkraczaniu w dorosłość.

Anna Dominiak

Tom swój tytułuje chyba kokieterijnie, bo przecież zgromadzone tu wiersze przeczą deklarowanej nieświadomości. To pierwszy samodzielny tom poetycki Patrycji, która ma już w swoim dorobku udział w wydanej w 2014 roku Antologii Poetów Okrągłego Stołu i należy zauważyć, że swoją samoświadomość wyraża tu wprost, unikając eufemizowania. Doświadczenia towarzyszące przekraczaniu rubikonu dzieciństwa nazywa językiem dalekim od subtelnej konfesji i można nawet, nie ryzykując przesady, powiedzieć, że niektóre zawarte w tomie obrazy zbliżają się do ekshibicjonizmu, tak typowego dla współczesnego pokolenia twórców. Jednak gorzowska debiutantka nie ulega pokusie szokowania. Tom *„Nie wiem”* to studium dorastania, przechodzenia od naiwnej wiary do bolesnego spotkania ze światem. Choć ta konfrontacja nie jest tak jednoznaczna, bo przecież doświadczanie nowego, jakimkolwiek by ono nie było, ma w sobie coś nęcącego, odpycha i przyciąga

zarazem. Dlatego bohaterka tomu ulega urokowi mglistych, industrialnych poranków, malowniczo opisując unoszenie się papierosowego dymu wchłanianego przez wielkomięjskie, brudne niebo. Ale ta bohemiczna poza nie daje poczucia spełnienia. Refleksyjne „ja” liryczne dostrzega bowiem wyraźnie, że amfetaminowe noce mają swój rewers. Dlatego z dosadnością opisuje swoiste krajobrazy po bitwie:

młode dziewczynki wychodzą z klubów na czworaka, w niedzielę nad ranem

Motywy, który nie od dziś charakteryzuje lirykę Patrycji Kopackiej jest problem pozoru, nieautentyczności relacji, niedopowiedzeń, do których jednak, jak zauważa – podobnie jak do samotności – można się przyzwyczaić. Podejmowane w jej świecie kontakty są często jednorazowe, ludzie nie potrafią zainteresować się sobą naprawdę. Poetka kontestuje też pogoń za maksymalizacją zmysłowej rozkoszy, ten niekończący się spektakl fizycznego pożądania, podkreślając swoją tęsknotę za zbudowaniem prawdziwych więzi. Do opisu obserwowanego świata używa seksualnej retoryki, z całym rejestrem standardowych fraz, które chwilami mogą nawet razić swoją nadobecnością. Ale taki jest przecież ten świat, jeśli przyjrzeć mu się dokładnie, zwłaszcza w interesujących poetkę obszarach. Należy także pamiętać, że tak intensywne, biologiczne odczuwanie jest etapem naturalnego procesu konstytuowania się osobowości. Jest w tych wierszach balansowanie pomiędzy zachwytem i rozpaczą, powtarzają się jakże częste w poezji młodych antynomie miłości i obcości, życia i śmierci, upojenia i bolesnych przebudzeń. Ale też możemy odnaleźć tu znaki niedostosowania, jakiegoś osobliwego uwierania życia, które prowadzą do pokusy nieistnienia.

Na drugim biegunie pragnień jest jednak silna potrzeba odnalezienia azylu w kimś prawdziwym, kto nie zniknie wraz z nadejściem poranka:

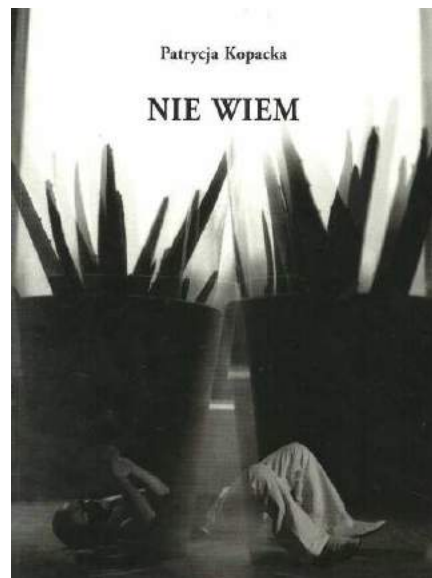
*Szukam miejsca dla siebie.
 Nieśmiało układam się w kształt
 wydrążony w pościeli przez twoje ciało.*

Tomik ten można czytać jako intymną próbę opisu przeobrażania się dziewczyny w kobietę. To zawiły proces, towarzyszą mu zdziwienia i rozczarowania.

Współgrające z nakreśloną w wierszach przestrzenią fotografię Piotra Merdy i Anety Długołęckiej akcentują surowość zurbanizowanego krajobrazu, który stanowi nierzadko scenografię lirycznych obrazów. Na tle szarych kamienic kroczą po chłodnym granicie Nierozpoznani. Ta eksplorowana przez podmiot przestrzeń to chodniki wielkie-

go miasta, pokoje w tanich akademikach, dworce i nocne kluby, z których tak trudno wyjść o własnych siłach. Poetka chłonie ten świat i zarazem buntuje się przeciwko niemu.

I może w tak opowiedzianej inicjacji nie byłoby nic szczególnego, bo przecież są to doświadczenia typowe, gdyby nie to, że tomik jest zarazem zapisem ewolucji warsztatowej, pokazuje dojrzewanie, krystalizowanie stylu i wyostrenie poetyckiego spojrzenia. Znajdziemy tu wiersze bardzo różne – takie, w których wyraźnie pobrzmiewają frazy zbanalizowane powszechnym użyciem, ale też wersy mocne, świeże, dobitne, pozwalające nazwać ten tom udanym wejściem w literacki świat.



Patrycja Kopacka, *Nie wiem*. Gorzów Wielkopolski 2015, s. 73.

Patrycja Kopacka

* * *

Amfetaminowe księżniczki
zwiedzają klubowe kible
jak nowo poznane kraje.
Jest orientalnie.
Od odcieni fety
dostają mroczków przed oczami.
Wstaje tęcza nad ciemnym blatem.
Noc wstaje wraz z blantem w ręce.
Śmiech do elektroniki,
śmiech do rytmu.

Ania zdziera sobie kolana
i bolą ją nadgarstki
od za mocnych ruchów dłońmi.
I tak na końcu nawet jej nie pogłaszcze.
Będzie musiała wycierać usta w bluzkę.
Białe plamy rozjaśniań czerń wokół dekoltu.
Najlepszy proszek tego nie spierze.

Filozofia codziennosci (125)



Ta szczytna idea powstała tuż po wstrząsie dramatycznym, jakim były zbrodnie II wojny światowej. Jednakże rządy państw europejskich obecnie są nastawione na zysk materialny i pozostają pod wpływem potęgi koncernów. Wartość pokoju pozostaje w sferze języka propagandy, a w rzeczywistości prowadzi się wojny określając je, na przykład, misjami pokojowymi czy szerzeniem demokracji. Powoduje to brak zainteresowania rządów narodowymi oddziałami SEC-u, wyrażający się w nieudzielaniu pomocy finansowej na działalność. Również włoski rząd nie łoży już należnych kwot władzom międzynarodowym SEC-u.

Spółczesność – w którym znaczna jej część kształtowała swobodnie swój światopogląd – wyrażałaby uznanie dla twórczości czy to w dziedzinie gospodarczej, politycznej, naukowej, społecznej, technicznej, prawnej, religijnej, a także literackiej, artystycznej. Te dwa procesy – to znaczy rozwój właściwości indywidualnych i oddawanie się jakiejś twórczości – wiążą się ze sobą.

Nadrzędne znaczenie dla każdego ma odnalezienie takiego celu istnienia, który odpowiadałby indywidualnym właściwościom i zarazem stanowił łącznik z innymi osobami. Utrudniają to funkcjonujące stereotypy, przesady, w tym nieweryfikowane od lat teorie. Przykładem niech będzie pogląd, iż człowiek ma być przystosowany do społeczeństwa. Konformizm i oportunizm oczywiście służą temu procesowi. Przystosowywanie się do większości jest wygodne, bo nie wymaga odwagi, ale powielanie sposobu życia i myślenia większości, a więc w tym przeciętnych ludzi, po latach wywołuje często poczucie braku sensu życia. Jakże wiele osób nie chcą być traktowanych jako dziwacy, nie rozwija drzemających w sobie możliwości, talentów.

Istotną rolę pełni w kształtowaniu światopoglądu wiedza wyniesiona ze szkół i uczelni, a także z mediów. Zaznacza się nieprzystawalność edukacji szkolnej i wyższej do epoki, którą tworzymy określając ją mianem globalizacji. Faktem staje się łączenie państw położonych na kontynencie

europejskim, czemu nie towarzyszą równoległe procesy przewyższania rozmaitych niechęci, w tym rasowych, narodowych i religijnych. Nadal funkcjonują uprzedzenia oraz znamieny jest udział Europejczyków w wojnach, które są zaprzeczeniem jednoczenia się ludzkości. Niestety, interesy koncernów i grup kapitałowych łączą ze sobą państwa. Stoicy, a potem Kant oczekiwali, że ideały, w tym wieczny pokój, będą spoiwem ludzkości.

Czynnikiem jednoczącym świat jest kultura masowa, która powstała jako rezultat rozkwitu techniki. Kultura radia, telewizji, internetu, reklam, prasy kolorowej niesie ze sobą miłkie treści, służące bardziej mąceniu świadomości aniżeli edukacji. Oczekiwało się, że dojdzie do zjednoczenia ludzkości pod wpływem odpowiedniego ukształtowania świadomości jednostek. Jednakże procesy jednoczenia gospodarczego, prawnego i politycznego znacznie wyprzedzają świadomość człowieka XXI wieku przywiązano do narodowej tradycji. Nadal aktualne jest przestrzeganie przed szowinizmem europejskim wyrażone przez Oswalda Spenglera w pierwszej połowie XX wieku.

W naszym społeczeństwie brakuje zyciowości dla tego, co odmienne, co odstaje od poglądów większości. Sugeruje się w sposób odległy od prawdy, że liczba wyznawców jakiegoś poglądu ma świadczyć o jego prawdziwości. Przeobrażanie świadomości to proces długotrwały. System edukacji bywa oporny wobec postulatów wprowadzania zmian. Na tym tle rysuje się szczególne znaczenie mediów, które są zdolne szybko i skutecznie kształtować świadomość człowieka. Ale nie pełnią one oczekiwanej misji edukacyjnej.

Brak stosownych przemian w świadomości i towarzyszący temu rozkwit przemysłu zbrojeniowego stanowią zagrożenie dla ludzkości i naszej planety. Troska o kształt świadomości, za co odpowiedzialna jest szeroko pojęta edukacja, powinna być tym większa, że w zalecanych obecnie ustrojach demokratycznych każdy – teoretycznie – może zostać wybrany i w konsekwencji wpływać na los państwa. Ponadto nowe kształtowanie świadomości jednostek na miarę XXI wieku staje się pilne również z powodu narastających procesów migracyjnych. Groźnym uprzedzeniem, stereotypem i niechęciom może zapobiegać jedynie edukacja, która będzie wyrabiać poczucie ludzkiej wspólnoty; pogląd, że każdy z nas stanowi część składową całej ludzkości.

Uznając wartość wolności – niezbędna jest postawa głębokiej tolerancji oraz uznanie sensowności zakazu prowadzenia jakichkolwiek wojen. Warto tu dodać, że przed kilkudziesięciami laty wartość pokoju oraz holizm krzewił Julian Aleksandrowicz, profesor medycyny i filozof. Należy ubolewać, że wciąż nie jest ona obecna u nas w permanentnej edukacji. Holizm głosi

jedność wszechrzeczy, a więc ujmuje człowieka jako część ludzkości oraz całego Kosmosu. Zwolennicy holizmu sprzeciwiają się wszelkim przejawom agresji oraz niszczenia środowiska naturalnego. A trzeba tu przypomnieć, że określa się dziś człowieka jako istotę śmiejącą, niszczącą środowisko w którym żyje, w przeciwieństwie do zwierząt. Ten wyznacznik człowieczeństwa może zostać przewyższony w drodze nowych wartości funkcjonujących w procesach edukacji.

Groźna jest bezideowość, która znamienuje kulturę masową, a więc nie tylko publiczną telewizję. Bezideowość w sensie nie propagowania wyższych wartości. Zamiast nich szerzone są pseudowartości jak sukces, kariera, bogactwo, spryt życiowy. W rezultacie dominuje u nas mentalność człowieka uznającego własne tradycje i obyczaje za lepsze od innych i zarazem przyjmującego bezkrytycznie to, co pochodzi z Zachodu oraz ze Stanów Zjednoczonych. Nieświadomiona mikromania narodowa sprawiła, że szybko zamerykanizowaliśmy się kulturowo. Ta mikromania narodowa, czyli poczucie, że jesteśmy rzekomo narodem gorszym od innych, szuka dla siebie szczególnego ujścia, wytwarzając postawę wyższości wobec niektórych narodów.

W związku z tym, że uczestniczymy w procesie globalizacji, szczególnym łącznikiem obywateli powinna stać się nasza tradycja narodowa, ale niestety, polska kultura i nawet jej najwybitniejsi przedstawiciele nie są znani własnemu narodowi. Ponadto szczególnym łącznikiem powinien być język polski, ale ulega on deformacji i amerykanizacji. Jest wykorzystywany propagandowo. Ustawa o języku polskim nie jest przestrzegana.

W telewizji publicznej, zgodnie z ustawą, obowiązuje przestrzeganie wartości chrześcijańskich. Pojęcie to jest nieostre, bowiem nie wiadomo czy chodzi o podstawowe wartości zapisane w judeochrześcijańskiej Biblii czy o szczegółowe kodeksy moralne formułowane przez poszczególne wyznania chrześcijańskie. Z praktyki naszego życia publicznego wiadomo, że chodzi o wartości propagowane przez Kościół rzymskokatolicki. Brak bowiem u nas należytego szacunku dla mniejszych liczebnie Kościołów i Związków Wyznaniowych, wbrew istocie demokracji. Wywołuje to jako skutek trudną sytuację dzieci i młodzieży w szkołach o ile nie są wyznawcami religii większościowej.

cdn.

Maria Sajszkowska



Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Kolej rzeczy

- Kolej rzeczy, rzeczy kolej, najważniejszy w głowie olej. No to, Wiosno, wina polej - tak się odezwał przy okrągłym stole filozof Pan Nietwór w *salonie mych myśli* i dodał: jużemy wszyscy przyszli, by przy okrągłym stole, jak zwykle opowiadać różne figle, a mój asystent Daniel Spaniel czeka też na winne danie, a nasza piwnooka Luna, jak heban czarnowłosa czeka też na winny posag.

- Już nalewam, już nalewam - bursztynowym głosem śpiewa błękitnooka i złotowłosa Wiosna, biorąc do rąk dwa winne wiosła. Pijmy wino, wszyscy razem, za poezję pod Pegazem.

- Pijmy wino złotym szpadlem pod złotystym kandelabrem - zawołał złotysty kandelabr w *salonie mych myśli* nad okrągłym stołem.

- Czy widzicie moi mili? Idzie wiosna, czas motyli - oświadczyła Wiosna przy okrągłym stole kładąc nam na głowę wiersza aureolę.

Motyl

*Drogi Konstanty
wezmę twe granty
ludziom pokażę
że słów malarze
mając te same farby
malują własne twarze
farba do farby
pędzelkiem zalet
maluje swój portret
czyjś boski talent
„Bo noc i księżyc
to noc księżycowa”
znamy genialne te słowa
to jest Konstanty Ildefons Gałczyński*

*co na to Andrzej Bartyński?
Bo słońce i ranek
to złoty dzbanek
który poeta stawia na stole
swojego wiersza
I tak poezja świat nam upiększa
abyśmy pili nektar życia
wśród kosmicznego niedożycia*

*Jeden przy drugim siedzą poeci
wielcy malarze - małe dzieci
jeden przy drugim jak w piaskownicy
siedzą nad ziarnkiem tajemnicy
i do foremek swoich słów
kładą klejnoty pięknych snów
zaczarowani i czarownicy
siedzą nad ziarnkiem tajemnicy
i do foremek swoim snów
kładą klejnoty pięknych słów*

*Już księżyc wschodzi
już słońce świeci
już wiersz się rodzi
już motyl leci
jedno ma skrzydło czarne
jedno ma skrzydło białe
jakbyś na biały talerz
rozlewał czarną kawę
wszystko się tworzy w słowie
jak kosmos w nieistności
a motyl po połowie
pół zgody pół sprzeczności*

*Jedno ma skrzydło białe
jedno ma skrzydło czarne
jakbyś na fortepianie
preludium grał dwubarwne
białe klawisze w lewo
czarne klawisze w prawo
gdy kończy się melodia
to staje się niemrawo
jeden jest kolor biały
jeden jest czarny kolor
oddajmy je demiurgowi
niech namaluje swój honor*

*I przemijają lata
wiosnami poematów
a motyl wierszem lata
i pije nektar kwiatów
wszystko się dzieje w słowie
religie i herezje
a motyl - ach na zdrowie!
wypijmy za poezję
za noc i księżyc
słońce i ranek
wychylił motyl
złoty dzbanek*

*Nagle się stało tak cicho
nagle się stało tak pusto
jakby się oderwało skrzydło
jakby się przewróciło lustro
białe klawisze w lewo
czarnych klawiszy nie ma
skończyła się melodia
i wiersz zakończył temat
a biało-czarny motyl
jak definicja bytu*

*przemienił się w istotę
nieznanych gabarytów
I znów nad ziarnkiem tajemnicy
siedzą poeci - pustelnicy
magiczną siatką złotych snień
łapią motyla albo cień
bo w komputerach ich umysłów
śni się ten motyl - nic i wszystko
bo noc i księżyc
słońce i ranek
jedno mam skrzydło czarne
jedno mam skrzydło białe
Ja się o wiersz otarłem
ja się motylem stałem*

*Białe klawisze w dole
czarne klawisze w górze
siedzą poeci przy stole
a motyl na klawiaturze
jedno ma skrzydło małe
jedno ma skrzydło duże
patrzcie - na fortepianie
stoją czerwone róże*

*Jedno ma skrzydło duże
jedno ma skrzydło małe
motyl na klawiaturze
tylko ja odleciałem*

PS.

- Pamiętajcie moi mili. Każdy czasem się pomyli, jak nasz Autor, gdy 8 marca, w dniu Święta Kobiet powiedział: - Niechaj każdy zapamięta, że dziś w dniu naszego święta, kobieta i poeta to uczuć kurweta. Oj, przepraszam. Chciałem powiedzieć korweta.

- Ale ja w *salonie mych myśli*, jako okienna framuga nigdy się nie mylę. Oj, przepraszam. Chciałem powiedzieć niech żyją motyle.



Barbara Medajska

POEZJA

Zdzisław Antolski, *Ojczyzna papierowych żołnierzyków*. Fotografie Bolesław Mazurek. Projekt okładki i opracowanie graficzne Agnieszka Herman. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2016, s. 104.

Sołomon Bart, *Nieuniknione*. Wiersze w przekładzie Zbigniewa Dmitrocy. Pozostałe teksty przekazyli Evangelina Skalińska, Marian Kisiel. Projekt typograficzny, projekt okładki i stron tytułowych Wojciech Bryda. Wydawnictwo Naukowe UKSW w Warszawie, Warszawa 2016, s. 106.

Andrzej Busza, *Atol. Wiersze wybrane*. Opracowanie graficzne Janusz Górnicki. Na okładce wykorzystano obraz Wilhelminy Buszy *Astronauta*. Fotografia autora Tomasz Przystupa. Przekłady wierszy anglojęzycznych Bogdan Czajkowski, Justyna Fruzińska, Jacek Gutorow, Roman Sabo, Beata Tarnowska. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2016, s. 254.

Justyna Chłap-Nowakowa, *W alfabetycznym nieporządku*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 64.

Dorota Filipczak, *Wieloświat*. Zdjęcie na I stronie okładki Dominik Figiel. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 131. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 40.

Barbara Gajewska, *Porwał mnie księżyc*. Redakcja: Zdzisław Dziubecki. Ilustracje: Barbara Gajewska. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Wojtaś. Wydawca: Miejska Biblioteka Publiczna im. Adama Próchnika, Piotrków Trybunalski 2017, s. 84.

Jerzy Górzeński, *Przedstawienia*. Portret autora na IV stronie okładki Grażyna Koptas-Górzeńska. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 130. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 56.

Stanisław Grabowski, *Łyżka*. Redakcja i korekta: Krystyna Węgrzyn. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo PATI, Warszawa 2016, s. 146.

Anna Morawiec, *Szarlotka, czyli co się robi, żeby nie robić tego, co powinno się robić*. Ilustracja na okładce Mariusz Stawarski. Wydawnictwo w Podwórk, Gdańsk 2016, s. 64.

Anna Maria Musz, *Lot nad miastem*. Ilustracje Anna Maria Rusinek. Załącznik Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2016, s. 104.

Piotr Prokopiak, *Cmentarne miśki rozumieją czas*. Zdjęcia: Krzysztof Biliński, Marcin Wilk. Projekt okładki: Krystyna Wajda. Wydawca KryWaj, Koszalin 2017, s. 48.

Jarosław Zieliński, „Słowa i linie”. Redakcja: Stanisław Grabowski. Wstęp: Piotr Matywiecki. Postawie: Stanisław Grabowski. Opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawca: Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2012, s. 230.

PROZA

Andrea Camilleri, *Królowa Pomorza*. Przełożył Maciej A. Brzozowski. Projekt okładki Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 304.

Miguel de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichot z Manczy*. Przekład, wstęp i opracowanie Wojciech Charchalis. Projekt i opracowanie graficzne okładki Michał Pawłowski. Rysunki w książce i na okładce Wojciech Siudmak. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2016, s. 648.

Stefan Chwin, *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych*. Projekt okładki i strony tytułowej Dominika Gzowska. Na I stronie okładki Arnold Böcklin *Sommertag*. Fotografia autora na stronie przedtytułowej Artur Hutnik / Testigo Documentary. Fotografia autora na IV stronie okładki Cato Lein. Wydawnictwo TYTUŁ, Gdańsk [2016], s. 364.

Przemek Corso, *Miasto złodziei*. Redakcja: Edyta Urbanowicz. Ilustracje: Fotolia. Projekt okładki i projekt elementów graficznych: Agnieszka Rajczak-Kucińska. Korekta: Edyta Urbanowicz, Anna Mędrzycka, Piotr Koperski. Opracowanie plastyczne i plastyczny kształt *Serii z Mustangiem*: Wojciech Cejrowski Sp. z o.o.. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2017, s. 304.

Jan Drzeżdżon, *Pergamonia*. Obraz na okładce Tadeusz Baranowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzecze 2016, s. 378.

Grzegorz Filip, *Pomiędzy*. Projekt graficzny okładki Marta Górka. Na okładce Philippe Petit przechodzi po nielegalnie rozwieszonych Unie pomiędzy wieżami World Trade Center, 1974. Fotografia autora Kazimierz Filip. Oficyna Wydawnicza Volumen, [Warszawa] 2016, s. 348.

Raymond Queneau, *Niedziela życia*. Przełożyła Hanna Igalson-Tygielska. Projekt okładki Justyna Boguś / Mile Widziane. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria Proza, tom 42. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 200.

Olivier Rolin, *Meteorolog*. Przełożyła Anna Michalska. Projekt okładki Tomasz Lec. Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 152.

Nathalie Sarraute, *Tropizmy*. Przełożył Szymon Żuchowski. Zdjęcie Marcin Niewirowicz. Projekt okładki Wojtek Świerdzewski. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria Proza, tom 43. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 56.

Agata Sobczyk, *Wypadek*. Projekt okładki Agata Sobczyk. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2016, s. 192.

Włodzimierz Spasowicz, *Śmierć w rzece Kura i inne zagadki kryminalne*. Przełożyły Małgorzata Migdałska, Jolanta Skrunda. Redakcja, przypisy i dobór ilustracji Elżbieta Staśkiewicz. Projekt okładki i stron tytułowych Fajne Chłopaki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016, s. 216, w tym ilustracje.

Łukasz Suskiewicz, *Mikroelementy*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie autora Marcin Zegadło. Fotomontaż na okładce i w książce Rafał Babczyński. Seria KWADRAT. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzecze 2016, s. 104.

Szczepan Twardoch, *Król*. Projekt okładki i stron tytułowych Rafał Kucharczuk. Przekład dialogów na język jidysz Ewa Geller. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 432.

Mario Vargas Llosa, *Dzielnica występku*. Przełożyła Marzena Chrobak. Projekt okładki Oksana Shmygol. Fotografia na I stronie okładki Carmen Gonzalez / Trevillion Images. Fotografia autora na IV stronie okładki Heike Steinweg / Opale / East News. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 286.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Charles Bukowski, *Śmieję się z bogami. Rozmowy z Fernandą Pivano*. Przełożył Krzysztof Filip Rudolf. Fotografia autora na IV stronie okładki Patrickjarnouz / Paris Match via Getty Images. Wydawnictwo w Podwórk, Gdańsk 2016, s. 168, w tym ilustracje.

Argymir Iwicki, *Burek na śniadanie. Serbia dla koneserów*. Redakcja i korekta: Janina Małas. Konsultacja językowa: Ewelina Chacia. Zdjęcia: Argymir Iwicki. Zdjęcie autora na okładce: Grzegorz Daniłko. Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2017, s. 320.

Grzegorz Piotrowski, *Muzyka popularna. Nasłuch i namysł*. Projekt okładki i stron tytułowych Karolina Tolka. *Biblioteka Myśli Współczesnej*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016, s. 176.

Teresa Torąńska, *Dalej*. Projekt okładki Anna Poi. Zdjęcie na okładce Włodzimierz Wasyluk / EAST NEWS. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 472.

INNE

Zbigniew Herbert, **Tadeusz Chrzanowski**, *„Mój bliźni, mój bracie”. Listy 1950-1998*. Koncepcja i redakcja Zbigniew Baran. Projekt okładki Olgierd Chmielewski. Fotografie na okładce Wojciech Karliński, Marian Kornecki, Andrzej Walicki. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 344.

Życie przemija, pamięć pozostaje... Wspomnienia seniorów gminy Czerniejewo. Redaktor prowadzący: Szczepan Kropaczewski. Projekt okładki: Ewa Polaszewska. Fotografie: archiwum gminy Czerniejewo. Na okładce: Maria Januszko – kresowianka. Zdjęcie z lat 40. XX wieku, park pałacowy w Czerniejewie. Wydawnictwo Gaudentium, Czerniejewo 2016, s. 302.

„Wielu Polaków – nawet mocno pro-ukraińsko nastawionych – twierdzi, że Smarzewski miał święte prawo przedstawić swoją wizję tego, do czego doszło na Wołyniu. Co my z tym zrobimy – inna sprawa. Inni mówią: ten film to zło. Brutalnie rozrywa niezagojoną jeszcze ranę. O »Wołyniu«, dodają, trzeba opowiadać, ale subtelnie, delikatnie. Brać pod uwagę wrażliwość obu stron. Obu stronom zadośćuczynić – pisze Ziemowit Szczerek w „Polityce”, numer 12/2017.

Na Ukrainie film mało kto widział: dystrybucji zakazano (nie pozwolono również na pokaz prasowy), ba, finansowe represje i ostracyzm dotknęły ukraińskich aktorów grających w filmie, ale podejście jest dość jednoznaczne: Polacy skomplikowane i delikatne sprawy pokazują w sposób jednostronny. I epatują przemocą w sposób karygodny. Siłowo forsują swoją wizję wydarzeń na Wołyniu i kiepsko pokazują ich kontekst. Mało pojawiło się głosów wyważonych, jak ten Jurija Opoki ze strony Zaxid.net. Opoka zauważał, że „połowę scen i tortur, jakie zobrazował Wojciech Smarzewski w »Wołyniu«, opisał wcześniej prof. Jan Tomasz Gross w książce »Sąsiedzi«, tylko kaci byli innej narodowości”. „Tutaj też – pisał Opoka – odcinano głowy i grano nimi w piłkę, było i mordowanie kobiet w ciąży, i wrzucanie widłami niemowląt na rozżarzone węgle, i teatralna, całodzienna egzekucja całej wsi, i nawet udział księdza (...), który, co prawda, nie świecił noży. O tych podobieństwach pogromów i zabójstw wspominam nie po to, by zrelatywizować Holocaust czy zbrodnicze czystki na Wołyniu, ale po to, by pokazać, że »demon mordy i sadyzmu« pojawia się u człowieka niezależnie od narodowości”. Ale starał się Opoka zrozumieć również polski punkt widzenia. „Nie wiadomo – pisał – czemu nie można potępić Kłyma Sawura i tych jego współpracowników, którzy ochoczo wykonywali zbrodnicze rozkazy. Gdy pojawi się taka oficjalna lista zbrodniarzy i kolaborantów (...) będziemy dysponowali listą ludzi, których nazwiskami nie warto nazywać ulic”. (...)

„Lata dwudzieste i trzydzieste w Warszawie to okres niezwykłej erupcji talentów, barwnych historii i przemian samej stolicy. W Warszawie działali najwybitniejsi pisarze. To tutaj toczyło

się różnobarwne życie artystyczne. Do dzisiaj krążą powstałe wówczas anegdoty. Autor pokazuje pisarzy od strony nie tylko zawodowej, ale i prywatnie, niejako w szlafroku.

Warszawscy literaci okresu międzywojennego byli ludźmi o bogatych osobowościach. Każdy z nich miał jakieś dziwactwo, coś go wyróżniało. Irzykowski nie umiał zawiązać krawata. Nosił więc tzw. krawatki, czyli niedbale zasupłane wstążki. Gałczyński i Nałkowska pisali zielonym atramentem, który dawał im natchnienie. Strug pisał na kolorowych kartkach. Boy używał maszyny do pisania i tylko poprawki dodawał ręcznie. Lubił zmieniać swoje teksty także w korektach.

Witkacy, Choromański i Giedroyc używali narkotyki, Dąbrowska brała strychninę. Lechoń był lekomanem. Tuwim cierpiał na agorafobię i całymi dniami nie wychodził z domu. Uniłowski i Słonimski nie mieli matury. Tuwim, Gałczyński i Broniewski nie ukończyli studiów. Broniewski i Sergiusz Piasecki siedzieli w więzieniu. Piasecki i Giedroyc mieli związki z polskim wywiadem.

Witkacy, Słonimski i Jon Nepomucen Miller pojedynkowali się. Słonimski, Dołęga i Nowaczyński brali udział w bójkach. Antoni Słonimski odtępił Kazimierzowi Wierzyńskiemu narzeczoną, z którą się potem ożenił, Leśmian jeździł do Warszawy z Zamościa do kochanki, tłumacząc żonie, że jedzie kupić masło warszawskie, bo zamojskie jest gorsze. Po powrocie poety do domu okazywało się, że masło ma etykietkę mleczarni z Zamościa.

Hemara we wrześniu 1939 roku zostawiła żona, Maria Modzelewska. W liście napisał mu: »Jasiu, nie gniewaj się, musiałam, zostawiam Ci Józję«. Wspomniana Józja była jej matką.

Te historie na tle Warszawy międzywojnia przedstawia Piotr Łopuszański w swojej książce pt. »Warszawa Literacka w okresie międzywojennym«.

„30 maja 1959 roku, w wyjątkowo piękne, jasne i słoneczne przedpołudnie Jarosław Iwaszkiewicz, stojąc w drzewach niewielkiej drewnianej kostnicy, obserwował powolne, staranne ruchy starca obmywającego zwłoki Jurka i myślał o tym, że tysiąc razy wyobrażał sobie tę scenę. Tę i wiele innych, które nastąpiły w ostatnich dniach, że żadnej z nich tak naprawdę sobie nie wyobraził. I na żadną z nich nie był przygotowany –

pisze Anna Król w „Przeglądzie”, numer 11/2017.

Patrzył teraz po raz ostatni na ciało człowieka, którego kilka godzin wcześniej przytulał i pocieszał, zafascynowany spokojem i czułością, z jaką dziad kościelny moczył raz po raz ręcznik w stojącej u jego stóp metalowej miednicy i przecierał płócienną szmatką najpierw ramiona, potem tors, brzuch, wreszcie chude nogi młodego mężczyzny.

Godzinę później był już z Jurkiem w kostnicy sam. Drewniane pomieszczenie było jasne. Gdyby nie ta koszmarna nazwa, mogłoby być szałasem ukrytym wśród lasu, wprost stworzonym do romantycznych schadzek. Potrząsnął głową, karcąc się w duchu za takie myśli. »Był człowiek, nie ma człowieka«, powtarzał jak mantrę, obserwując jednocześnie muchę krążącą coraz natrętniej nad czołem zmarłego. Przypomnił sobie o torbie z ubraniami, którą spakowała dla niego Anna. Wyjął z niej swój własny wełniany garnitur i zupełnie nową wykrochmaloną, śnieżnobiałą koszulę. Po raz ostatni dotknął Jurka, przekładając delikatnie jego głowę i ramiona przez sztywny materiał, w którym chłopak miał zostać już na zawsze. Sam też próbował coś z tego ocalić na zawsze. Jego ręka na dłoni zmarłego; usta na brzuchu kochanka. W tym ostatnim pożegnaniu było coś erotycznego – jakby to nie był trup, ale żywy Jurek. Nie kostnica, ale ich pokój w dawnym mieszkaniu albo jakimś pensjonacie. Jakby nie mieli się żegnać, ale trwać tak objęci i zostawieni wreszcie przez wszystkich w spokoju. Osunął się na kolana coraz wyraźniej czując podchodzące do gardła mdłości, i po raz kolejny tego dnia nie udało mu się powstrzymać nagłego szloch. (...)



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębkowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzegę sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.